Nr 4
4. VIII. 1946 r.

TYDZIEŃ

Cena 8 zł

ILUSTROWANE PISMO TYGODNIOWE



WARSZAWA W SIERPNIU 1944 ROKU



Generał Józef Chłopicki

ANALOGIE HISTORYCZNE



Marszałek Edward Rydz-Śmigły

OD REDAKCJI

Już w roku 1938 sztab niemiecki opracował plany „przebudowy" Warszawy. Według tych planów Warszawa miała się stać „miastem - ogrodem" o 200 tysiącach mieszkańców; całe jej dzielnice miały być zburzone, a na ich miejscu założone parki: systematyczne burzenie getta stanowiło wstęp do późniejszego zniszczenia Warszawy, które się miało ostatecznie dokonać po zwycięskiej dla Germanów wojnie.

O tym planie musieli i **powinni** byli wiedzieć ci, od których zawisło wydanie hasła do powstania. Bo taki jest obowiązek wodzów naczelnych, szefów sztabu i kierowników polityki narodowej. Tego się od nich wymaga. Powinni oni byli wiedzieć, że wróg czyha tylko na pozór, by przystąpić do niszczenia stolicy naszej. I pozorem tym stało się dla niego powstanie, po upadku którego ręka von dem Bacha wykreślała na planie Warszawy dzielnice, mające ulec kolejno pożodze.

Nie wolno więc było do powstania dopuścić w warunkach, niezapewniających mu całkowitego powodzenia; nie wolno było popełniać czynu, za który się ponosi odpowiedzialność przed narodem i przed historią.

Takie smutne refleksje przychodzą mimowoli na pamięć w drugą rocznicę powstania. I nie może ich stłumić cudowny heroizm powstańców warszawskich, walczących w osamotnieniu i beznadziei — heroizm, na którego wspomnienie szloch chwyta za gardło; nie może ich stłumić bezprzykładne w dziejach męstwo i bohaterstwo ludności Warszawy — jej mężów, kobiet i dzieci, którzy pozostaną zawsze naszą legendarną dumą.

1.

Historycy nie lubią—i słusznie—gdy się pisze i mówi: „Historia się powtarza" lub — za Ben Akibą: Nie ma nic nowego pod słońcem".

Analogie w historii, to jak podobieństwa między ludźmi. Bo cóż z tego, że jest „jak dwie krople wody" podobny do kogoś, skoro nie ma mowy o tożsamości istoty, lecz tylko o identyczności zarysu twarzy, koloru włosów itp. Ludzie głęboko różnią się pomiędzy sobą. I tak samo różnią się wypadki. Bywają wprawdzie zbliżone — na pozór — sytuacje, ale na pewno ich skutki będą tak różne, jak różnymi były przyczyny ich powstania.

Ale istnieje również twierdzenie, że te same przyczyny powodują powstanie tych samych skutków. Z dużą dozą dokładności można z góry ustalić co nastąpi, jeżeli zostaną spełnione takie to a takie warunki. Charakter ludzki, ludzkie postępowanie, są dość dobrze znane, łatwo więc przewidzieć ich konsekwencje. Odwrotnie: kto w historii danego człowieka lub narodu znajduje zbliżone do siebie, a często i identyczne postępki, ten musi dojść do wniosku, że psychika tego człowieka lub narodu nie wiele się zmieniła, że — innymi słowy — rządzi się on sobie właściwymi metodami postępowania.

2.

Wpadła mi przypadkowo w ręce dawno zapomniana książka p. t. „Pamiętnik historyczny i wojskowy o wojnie polsko - rosyjskiej w roku 1831". Jej autorem jest Ignacy Prądzyński, generał kwatermistrz „byłych wojsk polskich" jak podał wydawca, który „Pamiętnik" wydał w przekładzie z francuskiego w Petersburgu w 1898 r.

Kim był generał Prądzyński, powszechnie wiadomo. Wiemy, że był zwycięzcą spod Iganii, że na stanowisku generalnego kwatermistrza był rzeczywistym ojcem (zmarnowanych najczęściej przez dowódców powstania) planów strategicznych, że odznaczał się umysłem trafnym i ścisłym. Aczkolwiek jego „Pamiętnik" jest właściwie raportem, złożonym carowi Mikołajowi na jego żądanie, to jednak pisał go w oparciu o dane źródłowe, a poza tym był bezpośrednim widzem i często współautorem faktów, rozgrywających się przez blisko rok na szczupłej scenie Królestwa Kongresowego.

Nie chodzi mi jednak o fakty, związane z powstaniem, które są powszechnie znane i nie ma powodu o nich przypominać. Na przypomnienie — w związku z przeżywanymi przez nas w ciągu ostatnich lat siedmiu wypadkami — zasługuje co innego: oświetlenie przyczyn i okoliczności, towarzyszących wybuchowi powstania listopadowego (nie ostatniego w naszej historii), jako też rozumowe ujęcie jego przebiegu i skutków. W poglądach zaś Prądzyńskiego znajdziemy trzeźwe, wyprane z ckliwego sentymentalizmu, oceny naszego charakteru narodowego oraz mimowolne wytłumaczenie naszej klęski wrześniowej (1939) i wybuchu akcji, nazwanej powstaniem warszawskim (1944).

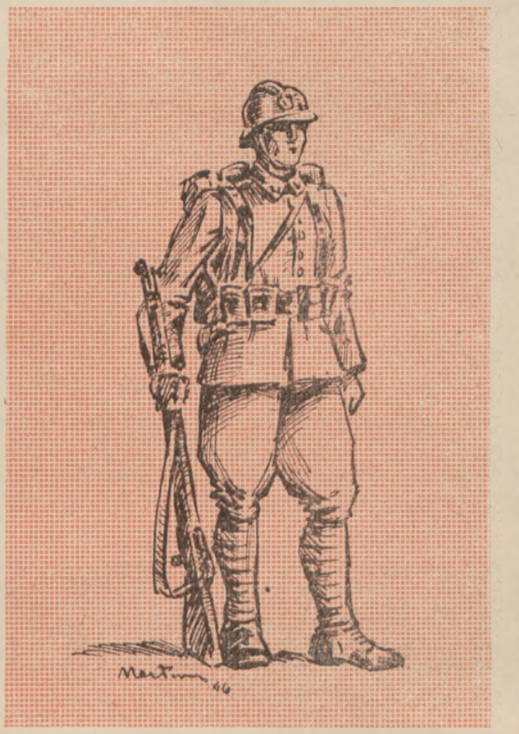
3.

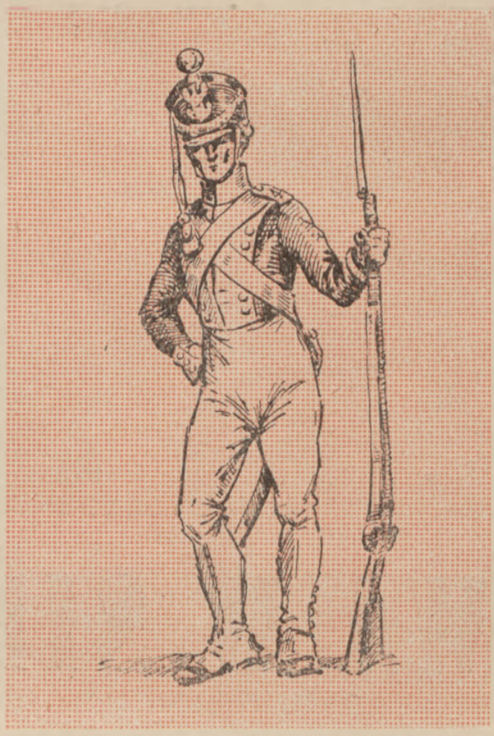
O armii Królestwa Kongresowego mówiono zawsze w takich samych superlatywach, jak o armii Śmigłego Rydza. To znaczy — uważano ją za jedną z najlepszych na świecie. Tymczasem... Tymczasem były to tylko pozory. „W epoce rewolucji — pisze Prądzyński — wojsko polskie było doskonale przygotowane do świetnych parad, ale nie do wojny". Pomimo widocznego porządku i postawy, przez którą wojsko nasze zyskało sobie sławę europejską", było ono niekarne i technicznie na niskim poziomie. Tak z winy Wielkiego Księcia Konstantego, który był maniakiem, jak i z winy polskich dowódców „system nauczania w armii polskiej sprowadzał się tylko do ćwiczeń". W naszych czasach uczono żołnierzy forsownych marszów i chwalono się fantastycznymi wprost w tej mierze wyczynami, nie stworzono natomiast ani odpowiedniej siły ognia (o czym niżej), ni sprawnej łączności, co się katastrofalnie dało we znaki we wrześniu 1939 r.

Polacy lubią działać na własną rękę i są dumni z tego indywidualizmu. Prądzyński patrzy na to zupełnie nie po polsku. Entuzjazm wojska „na czas krótki mógł zastąpić brak karności, ale nie na długo". Natomiast w wojsku rosyjskim panowała wzorowa karność, przy której „wojsko może doświadczać niepowodzeń, może mieć wodzów średniej miary i pomimo tego ma szanse wygranej".

Brakowało nam wodzów. „Żaden z nich—czytamy u Prądzyńskiego—nie potrafił ułożyć jasnego planu ruchów całej armii; nikt nie umiał przeprowadzić bitwy z zimną krwią, z bystrością umysłu; nikt nie pojmował znaczenia jednoczesnego użycia rozmaitych broni w taki sposób, aby te sobie pomagały wzajemnie.." W przeszło sto lat później okazało się, że Śmigły-Rydz był doskonałym dowódcą dywizji, ale dowódcą armii już być nie potrafił, w pierwszych dniach września stracił głowę, a manewrowania wszystkimi rodzajami broni nigdy się nie nauczył. Za to ludzi, „odznaczających się pewną siłą charakteru i przyzwyczajonych do porządków, niezgodnych z nowym regulaminem", usuwano poza nawias. Słowem korpus oficerski w 1830 r., jak to się miało powtórzyć w 109 lat później, nie był ani zawodowo, ani moralnie przygotowany do wojny z potężnym przeciwnikiem. „Samo obliczenie sił wojennych — pisze Prądzyński — mogło nas pozbawić odwagi, zwłaszcza, jeśli wziąć pod uwagę, że armia ta (rosyjska) nadzwyczaj karna i zaopatrzona we wszystko obficie, świeżo zahartowana w bojach z Turkami, dowodzona przez generałów, którzy czynami dowiedli swych talentów, opierała się o ogromne przestrzenie cesarstwa i bez względu na przerzedzenie swych szeregów podczas wojny miała możność ciągłego pomnażania swej liczby".

Gdy armia rosyjska była „zaopatrzona we wszystko obficie", w armii polskiej brak było wszystkiego. Przy ministrze wojny, którego Prądzyński nazywa „poprostu zero" (po 109 latach mieliśmy do czynienia z wartością ujemną), największym nieszczęściem okazał się brak broni, zwłaszcza artylerii. Na problem uzbrojenia zapatrywano się w 1830 r. nie inaczej, niż w r. 1939, kiedy naczelne dowództwo i sztab główny ironicznie traktowały plan wojny, oparty o samoloty, czołgi oraz wielką siłę ognia piechoty i artylerii. Teraz liczono głównie na szablę ułańską i bagnet (oraz mocne nogi) piechura; wówczas — na kosy i piki, które — powtarzamy za Prądzyńskim — „są niczym wobec kartaczów i kul karabinowych piechoty".





4.

Istotnie, powstanie listopadowe było tragedią. Wywołano je w atmosferze ucisku, stosowanego przez Nowosilcowa pod bokiem półgłówka, jakim był Wielki Książe Konstanty. Ale ci, co porwali za broń, nadawali się do zorganizowania „puczu" nie zaś rewolucji. Garść podchorążych, którym idiotyczny system Wielkiego Księcia zamykał drogę do awansu, plus ucząca się młodzież, zapalana a wojskowo nieprzygotowana do walki — oto zaczyn, z którego miało fermentować, a raczej kisić się, powstanie listopadowe.

Nie poparła go starszyzna wojskowa z Chłopickim na czele, która — aczkolwiek malkontentna — nie wierzyła w sukces wybuchu. Prądzyński twierdzi, że i samo miasto „nie przyjęło żadnego udziału w ruchu rewolucyjnym". Bo „chociaż nawet pewna część ludności przyłączyła się do powstania, robiąc dużo hałasu na ulicach, to jednak właściwe mieszczaństwo było raczej przeciwne, niż chętne temu wypadkowi". A konspiracja, która doprowadziła do rewolty, „nie miała określonego celu ani żadnego wytkniętego planu postępowania". „Ich (przywódców konspiracji) pojęcie o tem, co zamierzali przedsięwziąć, do tego stopnia było mało określone, że zdawało im się, iż spełnili wszystko, gdy zamordowali niegodnie generałów, spotkanych na ulicach i doprowadzili Wielkiego Księcia do opuszczenia Belwederu". W 1944 r. „rozumowano" podobnie: wystarczy w przededniu wkroczenia wojsk radzieckich uderzyć na garnizon niemiecki, mając broni i amunicji na kilka dni, a zwycięstwo przyjdzie samo do ręki. „Zapomniano" tylko uzgodnić swe postępowanie z tymiż wojskami radzieckimi i wziąć poprawkę na aktualną sytuację strategiczną.

Nad powstaniem listopadowym — jak i nad powstaniem sierpniowym — unosił się duch fatalizmu. „Ludzie, patrzący jasno i rozsądnie, doskonale przewidywali rezultat rewolucji, ale nie mogąc postąpić inaczej, zdecydowali się przyjąć udział w ruchu, którego nie podobna było powstrzymać. Rozumni i poświęcający się, pełnili swój obowiązek, tłumiąc głos swych myśli". Ruchowi przywodzili, jak zwykle, zapaleńcy, którzy „upatrywali swą wielkość w tem, że walczyli z siłami i środkami tak nierównymi". Bohaterski romantyzm jednostek stał się w ten sposób powszechnym wyznaniem wiary i polityczną racją stanu. Skutki wiadome.

A. Faik

DEMOKRACJA ALE JAKA?

(GŁOSY CZYTELNIKÓW)

W związku z artykułem dyskusyjnym w Nr 2 naszego pisma p. t. „Demokracja ale jaka"? — do redakcji wpłynęło szereg wypowiedzi i artykułów naszych czytelników. Niektóre z nich zamieszczamy w dzisiejszym numerze, rezerwując miejsce w następnych dla dalszej dyskusji na ten temat. (Redakcja).

JAKA DEMOKRACJA? DOBROBYTU MAS PRACUJĄCYCH

— Demokracja w Polsce nie jest gotowa — konkluduje w swym artykule p. t. „Demokracja, ale jaka" Adam Rapacki.

Niezawodnie, przewrót polityczny w Polsce, przeprowadzony w imię interesu mas pracujących, nie zastał przygotowanych do władztwa chłopów, robotników i inteligentów. Tylko szczupła warstwa świadomych działaczów rozumie cele tego przewrotu i orientuje się w drogach, po jakich trzeba kroczyć, aby nowy ustrój polityczny, gospodarczy i społeczny wzmocnić.

Ale tak było przy każdej rewolucji. Tak samo będzie w Polsce. Zanim chłop, robotnik i inteligent stanie się na prawdę władzą swojej demokracji i poczuje się w nowych formach swobodnie i po pańsku (w pozytywnym znaczeniu słowa), upłynie sporo lat. Dźwignąć się musi przede wszystkim gospodarczo, jak dźwignęło się, zapanowawszy w demokracji kapitalistycznej, mieszczaństwo. Co to za pan, który często gęsto nie dojada, mieszka niejednokrotnie w ciemnych norach i nie może pozwolić sobie, aby swe dzieci pchnąć na wyższy szczebel gospodarczy, i kulturalny? Jakie jest jego samopoczucie, gdy w kieszeniach pustki i nie ma grosza na czarną godzinę? Nie bądźmy wstydliwi i umiejmy spojrzeć życiu w oczy. Prawdziwe władztwo mas pracujących w demokracji ludowej łączy się ściśle z dobrobytem chłopa, robotnika i inteligenta. Muszą te warstwy porość w pierze, inaczej zarabiać, mieszkać, korzystać ze wszystkich zdobyczy cywilizacyjnych i kulturalnych, niż dotychczas. Dobrobyt był zawsze dźwignią człowieka na wyższy poziom polityczny, społeczny i kulturalny. Daje on siłę i dobre samopoczucie człowiekowi.

Nie jest łatwo w zrujnowanym przez okupanta i wojnę kraju zapewnić warstwom pracującym dobrobyt. Najdemokratyczniejszy rząd nie jest w stanie od razu ustalić wysokich stawek zarobków, jeśli nie chce dopuścić do bankructwa finansowego i wstrząsów gospodarczych. Ale **jednym z pierwszych celów rządów demokratycznych w państwie ludowym musi być dobrobyt mas pracujących.**

W planowej gospodarce państwa ludowego sprawa podniesienia zarobków i dobrobytu mas pracujących stanowi poczesną pozycję. W miarę wzrostu dobrobytu mas pracujących kształtować się będzie ich styl polityczny, społeczny i kulturalny. Demokracja ludowa nabierać będzie rumieńców i treści życiowej, a masy pracujące poczują się władcami i panami nowego ustroju. Zamiast demokracji kapitalistyczno-obszarniczej, jaka panowała w Polsce przed wojną, wyrośnie demokracja warstw pracujących. Nie w pałacach dworskich i fabrycznych, ale w schludnych domkach i domach na wsi, w mieście i w osiedlach fabrycznych. Zniknie wtedy kompleks niższości, który do tej pory pokutuje w masach pracujących, a narodzi się samopoczucie prawdziwych twórców życia i gospodarzy kraju.

Z. KIEŁCZEWSKI

●

REWOLUCJA ZAKOŃCZONA

W dyskusji, podjętej na temat demokracji, nie powinniśmy wystrzegać się poruszania momentów drażliwych, słów gorzkich. Dostatecznie gorzki jest fakt, że to hasło, o które walczyły i ginęły miliony, utraciło swój dźwięk radosny i budzący entuzjazm. Musimy odnaleźć jego treść, sprawdzić, czy i o ile odpowiada ona naszym dążeniom i tęsknotom, czy i o ile potrafimy ją realizować w najtrudniejszej z prób — w próbie życia.

Artykuł Adama Rapackiego „Demokracja — ale jaka?" zawiera dla mnie pewien moment niejasny. Czytamy: rewolucja. Jesteśmy w okresie rewolucji, aczkolwiek bezkrwawej. To prawda. Przemiany, jakich byliśmy świadkami i uczestnikami, można określić mianem rewolucji. Ale przewrót juz się dokonał. Mamy już za sobą uspołecznienie przemysłu, wywłaszczenie wielkich własności. Obaliliśmy ustrój dotychczasowy. I to **była** rewolucja. Teraz już jest **budowanie** nowych form życia, nowego ustroju, na gruzach tamtego.

Mamy jeszcze przed sobą daleką drogę? Zapewne. Jesteśmy dopiero u progu reform. Tak. Mało jest wydać prawa. Trzeba je wypełnić treścią. Ale to już nie rewolucja. To działanie w ramach stworzonych przez rewolucję, to działanie w nowym ustroju. Może nie warto spierać się o słowa.

Jeżeli rewolucja, to i prawa wyjątkowe, niejako wojenne. Jeżeli rewolucja — to i zawieszenie swobód obywatelskich, to przedłużenie na czas nieograniczony stanu wyjątkowego, wykluczającego normalny rozwój polityczny, społeczny, kulturalny. W imię praw rewolucji, w imię jej celów. **„Lepsze" zawsze jest wrogiem „dobrego", przyszłość często bywa wrogiem teraźniejszości.** Dążąc do odległych celów, łatwo stracić je z oczu, posługując się środkami w istocie swojej tym celom przeciwnymi. Łatwo jest wiele zjawisk usprawiedliwić rewolucją, będącą rodzajem wojny społecznej i stosującej prawo wojenne. Lepiej z tym skończmy i powiedzmy sobie: przewrót dokonany, od dzisiaj budujemy.

Po to, żeby budować, trzeba mieć poczucie stałości, wyraźnych ram normatywnych, choćby to była stałość dynamiczna i ramy elastyczne. Trzeba mieć poczucie pewności stosunków. Rewolucja sama w sobie jest zaprzeczeniem tej stałości, na której można się oprzeć, budując.

Więc nie traćmy świadomości, że rewolucja się dokonała i wyciągajmy z tego jak najdalej idące konsekwencje społeczne, polityczne, gospodarcze, kulturalne, żeby rewolucja nie była daremną, rewolucją bez konsekwencji rewolucyjnych, jaką mieliśmy już raz w naszym życiu. Ale powiedzmy sobie, że rewolucja już za nami, a przed nami — dzieło tworzenia.

S. K.

●

OD CZEGO ZACZĄĆ?

Tworzymy nowe formy ustrojowe. Każda forma jest tylko formą, dopóki jej nie wypełni człowiek. Musimy wychować uspołecznionego człowieka. Obecny człowiek tkwi w przeszłości. Jakże więc ma zapełnić nową formę? Oto błędne koło, o którym mówi autor.

Zagadnienie jest stare. Pisał o nim Abramowski. I niemal w tych samych słowach. Zagadnienie jest odwieczne. A jednak następują zmiany. I nowa forma napełnia się nową treścią. Życie odnajduje sposoby rozwiązania tej rzekomej kwadratury. Autor wskazuje na to rozwiązanie: wychowywać człowieka, choćby to szło powoli i jednocześnie budować nowe formy. Nie można jednak zacząć od kultury, jak to wynikałoby z dosłownego brzmienia artykułu. To proces powolny, jak przyznaje sam autor. I to również dziedzina wychowania.

Znamy autora jako jednego z wybitnych działaczów spółdzielczych, głębokiego teoretyka spółdzielczości. Czemu w swym artykule zapomniał właśnie o spółdzielczości? Każdy, ktokolwiek styka się ze spółdzielczością od dołu, widzi jasno, że nie ma bardziej praktycznej, prostej i szybkiej drogi wychowania i przekształcenia człowieka. Spółdzielczość nie każe mu się wyzbywać nagle i od razu psychiki, wyrosłej i tkwiącej ciągle korzeniami w przeszłości, której motorem jest korzyść osobista. A jednocześnie zmusza człowieka do działania w zbiorowości i dla zbiorowości. Zmusza w sposób ciągły, jakby niedostrzegalny. Czyni to przede wszystkim w zakresie spożywczym, jako mająca najszersze podstawy i zakres działania. Całe zagadnienie należy przesunąć w kierunku wciągania mas do spółdzielczości i pobudzania ich do czynnego działania w tym ruchu.

Mieczysław Krzepkowski

NADESŁANE KSIĄŻKI

Kpt. Adam Paszkowicz — „Wróciłem z Mauthausen". Wydawnictwo „Poligrafika", Łódź, 1946, str. 39 i 1 nl.

Harrington Ewerson — „Dwanaście zasad wydajności pracy". Opracował dr. Bronisław Wojciechowski — Wydawnictwo „Poligrafika", Łódź, 1946, str. 86 i 1 nl.

Dr. Jan Muszyński — „Uprawa i zbiór roślin leczniczych". Wydawnictwo „Poligrafika", Łódź 1946, str. 138 i 2 nl.

Mieczysław Kafel i Antoni Olcha — „Wieś pisząca". Wyd. „Czytelnik", Kraków—Warszawa 1946, str. 141 i 2 nl.

O HUMANIŹMIE

W poprzednim felietonie („Tydzień Nr 3) wyliczyłem kilka cech charakteru ludzkiego, które — zdaniem moim — mają wielkie znaczenie przy kształtowaniu się t. zw. pojęć demokratycznych. Są to: poczucie godności osobistej, szacunek dla godności ludzkiej w innym, poczucie odpowiedzialności, odwaga cywilna i zaufanie do człowieka. Twierdzić można napewno, że wymienione wartości stanowią o kulturze duchowej i moralnej, o tym, co się nazywało niegdyś europejskością albo „humanizmem" — w tym sensie, jaki temu słowu nadawał Tomasz Mann. Naczyniem — że się tak wyrażę — tego „humanizmu" może być każdy człowiek, niezależnie od swego stanowiska społecznego, majątku, wykształcenia i tym podobnych różnic, dzielących ludzi. Jeśli np. Wyspiański mówi o chłopie polskim: „Kiedy sieje, orze, miele — taka godność, takie wzięcie; co czyni, to czyni święcie: godność, rozwaga, pojęcie"—to podnosi w nim nic innego, jak tylko „humanizm". Można być, powiedzmy, komisarzem—„humanistą", i można zajmować stanowisko profesora uniwersytetu, wykładającego humanistykę, a „humanistą" nie być. Czasu okupacji w Warszawie rozmaicie mi się powodziło: bywało, że uczyłem na tajnym uniwersytecie warszawskim, i zdarzało się, że sprzedawałem na ulicy papierosy i pełniłem trudne obowiązki woźnego w pewnej firmie. Moi przełożeni wiedzieli, że mam t. zw. wyższe wykształcenie, prócz tego byli to ludzie, którzy rozumieli, że woźny jest również człowiekiem, więc traktowali mię po ludzku. Ale miałem też jednego inżyniera, który wydzierał się do mnie na cały głos: leć-że pan tam natychmiast! co to jest, do jasnej cholery, jeszcześ pan tam nie załatwił? Rzecz naturalna, że nie podawał ręki. Niestety, nie mogłem go szanować, aczkolwiek szanuję każdy zawód (z małymi wyjątkami — np. zawód kata), zarówno profesorski jak kominiarski, każdy bowiem ma swoje miejsce i zasługi w społeczeństwie. Z tym inżynierem spotkałem się przypadkiem zeszłego roku w pewnym mieście na zachodzie Polski. Myślę że jeździł tam na szaber. Szedł drugą stroną ulicy, ale ujrzawszy mnie, przeleciał na moją stronę z radosnym uśmiechem i wylewnością. „Witam, witam, panie redaktorze — wołał: — słyszałem, słyszałem! Góra z górą... moje uszanowanie!" Tym razem ja nie podałem mu ręki. Ale się tym nie zmieszał się i pobiegł dalej. Oto przykład z powszedniego życia, jak w człowieku inteligentnym, z wykształceniem i na stanowisku może się zatracić „humanizm".

Z drugiej strony weźmy przykład t. zw. człowieka bez wykształcenia. Po Powstaniu Warszawskim spędziłem dwa miesiące u chłopa na głuchej wsi księżackiej. Mój gospodarz był dyskretny i delikatny: nie rozpytywał mnie o nic, dopóki sam nie zaczynałem mówić; dzielił się ze mną, czym miał; opowiadał mi o swoim życiu z powagą i mądrością; okazywał mi zaufanie; postępował ze mną, jak równy z równym, t. j. bez uniżoności i bez lekceważenia — słowem, obcowanie z nim sprawiało rzeczywistą przyjemność. Gdy, będąc niedawno w Łodzi za interesami, odwiedził mnie, wyraził z prostotą swoje zadowolenie, że mam znów dach nad głową i połączyłem się szczęśliwie z rodziną. Nie napomknął ani słowem o tym, że może winienem mu wdzięczność za owe miesiące pobytu u niego. Zjadł ze mną skromny obiad, wypił parę kieliszków wódki (wspomnieliśmy jego ówczesny, gospodarski bimber); uścisnęliśmy sobie „godnie" dłonie na pożegnanie i rozstaliśmy się. Był to człowiek pełen „humanizmu".

Powie ktoś, że mój inżynier i mój chłop — to przykłady sporadyczne. Zapewne. Nie wszyscy inżynierowie są tacy, jak mój, i nie wszyscy chłopi są tacy. I nie chodzi mi o to, żeby robić propagandę chłopom albo piętnować znieprawioną inteligencję. Chodzi o „humanizm"—w praktycznych codziennych jego przejawach, które możemy obserwować bez względu na „wysokość" socjalną. Ten „humanizm" jest ważnym, może nawet rostrzygającym czynnikiem przy odbudowie (jak to mówimy) naszego życia powojennego we wszystkich jego dziedzinach, albowiem charakter człowieka jest fundamentem, na którym się wznoszą ludzkie ustroje: społeczne, polityczne, gospodarcze i t. p. Ta sama idea społeczna (np. idea demokratyczna), przeszczepiona na grunt różnych środowisk ludzkich o różnych charakterach, różne wydaje owoce i odmienne w praktyce przybiera formy, podobnie jak — powiedzmy — ta sama idea religijna. I dlatego demokratyzm szwajcarski albo duński jest inny od demokratyzmu, dajmy na to, greckiego, albo katolicyzm hiszpański inne ma znamiona, niż katolicyzm polski czy belgijski. Żałuję, że wyleciało mi w tej chwili z głowy, (a z powodu braku książek nie mogę tego sprawdzić), nazwisko owego profesora angielskiego, którego dzieło p. t. „Charakter narodowy" ukazało się było nie na długo przed wojną w przekładzie polskim w wydawnictwach „Naszej Księgarni" ZNP. Wyszczególniał on tam rozmaite czynniki, od jakich zależy kształtowanie się — dodatnie lub ujemne — charakteru narodowego. Dzieli je na dwie grupy: materialne i duchowe. Do materialnych zaliczał: położenie geograficzne kraju, jego ustrój polityczny, warunki gospodarcze, główne zatrudnienie mieszkańców, a więc — czy kraj to przeważająco rolniczy, przemysłowy albo też handlowy i t.d. Na czynniki duchowe — w jego ujęciu — składa się religia, literatura, sztuka, systemy wychowawcze i t. d. I ostatecznie dochodził do wniosku, że ważniejszą rolę w urabianiu charakteru narodowego odgrywają czynniki duchowe, spośród nich zaś wysuwają się na pierwsze miejsce „systemy wychowawcze". Mogą one przezwyciężać niesprzyjające nawet rozwojowi charakteru czynniki materialne, np. czynnik geograficzny: I można być — twierdził — tak mglistym, wilgotnym i nieprzytulnym klimatycznie krajem, jak Anglia, a wychować człowieka pozytywnie, „humanistycznie"; i można żyć pod niebem tak łaskawym, jak włoskie, i mieć ciągłe kłopoty z wychowaniem człowieka. Być może, profesor ten ma niejaką słuszność.

Jerzy Wyszomirski

PALESTYŃSKI KOCIOŁ

W tych dniach wrócił do Kraju po wieloletnim pobycie za granicą wybitny publicysta, red. Alexander Then, który kilka ostatnich lat spędził w Palestynie i poznał dobrze zagadnienia zarówno Palestyny, jak i problemy Bliskiego i Środkowego Wschodu.

Poniżej zamieszczamy artykuł red. Thena, naświetlający głośne ostatnio wypadki w Palestynie.

PALESTYŃSKI KOCIOŁ

Ostatni zamach żydowskiej organizacji terrorystycznej znanej pod nazwą „Irgun Zwai Leumi" (bojowników o wolność Sjonu) na siedzibę rządu palestyńskiego w Jerozolimie, wysuwa znowu na czoło zagadnień międzynarodowych problem Palestyny. Problem ten zresztą już od dłuższego czasu jest przedmiotem zainteresowania opinii międzynarodowej i domaga się radykalnego rozwiązania.



Jerozolima — po godzinie policyjnej (The Illustrated London News)

Zamach, który nie jest pierwszym i z pewnością nie ostatnim, stanowi wyraz protestu przeciw przewlekaniu przez rząd brytyjski wypełnienia zaleceń anglo-amerykańskiej Komisji Ankietowej, która po przeprowadzeniu bardzo szczegółowych badań w Europie, w Stanach Zjednoczonych, w różnych krajach arabskich i na miejscu w Palestynie, wydała jednomyślne orzeczenie, że należy rozładować wielkie skupiska Żydów w obozach niemieckich i wpuścić do Palestyny w jak najkrótszym czasie 100 tysięcy Żydów.

Premier Attlee oświadczył, że masowa emigracja do Palestyny możliwa będzie tylko po uprzednim rozbrojeniu żydowskich organizacyj bojowych w Palestynie. Odpowiedzią na oświadczenie były nowe zamachy terrorystyczne.

Ostatni zamach na siedzibę rządu palestyńskiego był największym ze wszystkich dotychczasowych. Pierwszym zamachem na wielką skalę było wysadzenie w powietrze jednego z gmachów policyjnych w lecie 1944 r., przy czym zginęło kilku policjantów. Drugim wielkim zamachem było wysadzenie narożnika potężnego gmachu policji sądowo-śledczej. W zamachu zginęło kilkunastu oficerów policji, urzędników, policjantów i strzegących gmachu czarnych żołnierzy z zachodniej Afryki. Kilku oficerów i policjantów zginęło również w pościgu za zamachowcami. Nie udał się zamach na budynek radia palestyńskiego; zginęło w nim kilku terrorystów. Obecny zamach jest bez precedensu pod względem śmiałości i liczby ofiar.

Organizacja „Irgun Zwai Leumi" grupuje głównie młodzież wszystkich klas społecznych płci obojga. Na jej czele—stoi młody Żyd z Polski, Menachem Beigen, który służył w Armii Polskiej na Środkowym Wschodzie w randze kaprala i zatrudniony był w charakterze telefonisty i tłumacza w polskiej Komendzie Placu w Jerozolimie. Ponieważ władał świetnie angielskim, został wyreklamowany dla pewnych celów na rok przez brytyjską Kwaterę Główną w Jerozolimie, lecz po upływie roku nie zjawił się więcej w Komendzie Polskiej „i odtąd wszelki ślad po nim zaginął. Na jego głowę wyznaczona jest premia w wysokości 1000 funtów, która po ostatnim zamachu zostanie z pewnością podwyższona.

Organizacja zdobywa fundusze przez pobieranie przymusowych datków od obywateli. Wysłannicy Organizacji zjawiają się w biały dzień u zamożnych Żydów i żądają otwarcie złożenia datku na cele Organizacji, wystawiając pokwitowania. Broń zyskuje Organizacja w najazdach na obozy wojskowe brytyjskie, wjeżdżając w ich obręb w biały dzień w przebraniu w mundury wojskowe, lub policyjne. Takie najazdy są na porządku dziennym.

Jednym z przejawów działalności „Irgun Zwai Leumi" są ataki na nadmorskie stacje policyjne w czasie, gdy do wybrzeży Palestyny zbliża się statek z nielegalnymi emigrantami żydowskimi. Dziełem organizacji był również nieudany zamach na ostatniego cywilnego Wysokiego Komisarza Palestyny, Mc Michaela (urzędował przed lordem Gortem) oraz udany zamach na brytyjskiego ministra Stanu na Środkowym Wschodzie, lorda Moyne w Kairze, w którym minister stracił życie.

Jerozolima (Britisch Photo)



Wszystkie te zamachy dokonywane są mimo sprowadzenia do Palestyny najlepszych oddziałów wojskowych brytyjskich, między innymi brygad spadochronowych, i mimo formalnego zamienienia Palestyny w jeden wielki obóz warowny. Wszystkie gmachy rządowe i użyteczności publicznej w głównych miastach, w Jerozolimie, w Tel-Avivie i w Haifie otoczone są zasiekami z drutu kolczastego i strzeżone przez oddziały wojskowe i posterunki policyjne. Po ulicach patrolują w dzień i w nocy auta pancerne, zaopatrzone w silne reflektory, a od czasu do czasu w podejrzanych dzielnicach i na drogach odbywają się rewizje. Również siedziba rządu palestyńskiego, mieszcząca się w południowym skrzydle wspaniałego hotelu „King David" (Król Dawid), otoczona była zasiekami z drutu kolczastego i pilnie strzeżona w dzień i w nocy. Jak jednak wynika z depesz, terroryści dostali się do hotelu, zeszli w jego podziemia, przedostali się od wewnątrz w podziemia siedziby rządu i założyli tam potężne ładunki materiału wybuchowego. Fakt, że w zamachu straciło życie tak wiele osób, świadczy, że całe południowe skrzydło hotelu, mieszczące siedzibę rządu, musiało runąć, grzebiąc pod gruzami wszystkich obecnych w gmachu członków rządu i urzędników.

W tej chwili Wysoki Komisarz, sir Allan Cunningham, przyleciał pośpiesznie z Londynu z powrotem do Palestyny i podejmuje szereg zarządzeń odwetowych.



(The Illustrated London News)

Brytyjczycy kontrolują okręty w poszukiwaniu nielegalnie przybywających żydów

Skutecznym lekarstwem na bolączkę palestyńską będzie zmiana polityki brytyjskiej i dopuszczenie do Palestyny większej emigracji żydowskiej, a w pierwszym rzędzie wypełnienie zaleceń anglo-amerykańskiej Komisji Ankietowej, przewidującej jednorazowe wpuszczenie do Palestyny 100 tysięcy Żydów z Niemiec.

Aleksander Then

•ERA ATOMOWA•

29 grudnia 1942 roku rozpoczęła się „Era atomowa" w dziejach ludzkości zamieszkującej glob ziemski. Dnia tego w podziemiach Uniwersytetu w Chicago pierwsza bateria atomów uranu zaczęła wytwarzać energię atomową.

Nie będziemy wdawać się w bardzo skomplikowane i zawiłe procesy fizyczno-chemiczne, z których wyników powstaje nieobliczalna siła wyzwolonej energii. Pokrótce — energia ta powstaje z rozpadu elementów. Jednym z elementów wyzwalających energię jest odmiana bardzo rzadkiego metalu — uranu, a raczej jego odmiany uranu 235. Dla otrzymania jego, specjalna ruda musi być wydobywana w temperaturze poniżej zera ze złóż w Great Beer Lake tylko o kilka mil poniżej Koła Polarnego w Kanadzie.

Drugim elementem wytwarzającym energię jest pluton uzyskiwany syntetycznie z uranu.

Wiek atomowej energii rozpoczął się zatem w Chicago 29 grudnia 1942 r. Specjalne urządzenia kontrolne utrzymywały wytwarzające się energię w napięciu zaledwie pół wata, aby uniknąć niespodzianki wybuchu atomu, który mógł mieć nieobliczalne skutki. Po kilku dniach uczeni podwyższyli napięcie do 200 wat. Nauka szła naprzód i już w roku 1944 ten sam przyrząd produkował energię 1800000 wat.

Pierwsza bomba atomowa rzucona na Hiroschimę była wyprodukowana z uranu. Bomba rzucona 9 lipca 1945 roku na Nagasaki była wyprodukowana z plutonu.

Pierwsze kroki wyzwolenia energii atomowej doprowadziły do kataklizmu. Oto jak wyglądał pierwszy wybuch w Nagasaki w relacjach uczonych amerykańskich.

W chwili rzucenia bomby zapaliło się ognisko potwornej jasności. Okulary, jakie mieli obserwatorzy, przebywający na 10.000 m. nad ziemią i jakie całkowicie gasiły słońce, nie stanowiły dla tego światła żadnej przeszkody. Ognisko to można było ocenić na temperaturę około 10.000.000 stopni — wiadomo, że średnia temperatura słońca nie przenosi 7.000 stopni. Nad ogniskiem utworzył się słup gazów o olbrzymiej średnicy, rozpostarty nad olbrzymim ogniskiem obejmującym całe miasto i port Nagasaki.

Bombę rzucono na dzielnicę przemysłową i portową, które z jednej strony ograniczone były rzeką, z drugiej zaś górami. Po upływie dwóch minut całą tę dzielnicę objęły płomienie, a pożar przerzucił się na drugą stronę rzeki, gdzie znajdowała się dzielnica handlowa. W 12 min. już całe Nagasaki stało w ogniu — pożar ogarnął przestrzeń o średnicy 8 — 10 km. Domy, jak później można było stwierdzić, uległy stopnieniu.

Po eksperymentach na atolu Bikini, — z którego relacje są jeszcze bardzo głuche — dowiemy się, czy energię atomową da się zastosować do celów pokojowych.

Jak przypuszcza jeden z polskich fachowców w tej dziedzinie, inż. E. Urbanowicz mogą powstać i to już w niedługim czasie wielkie atomowe elektrownie, gdzie baterie atomowe plutonu zastępując węgiel, przetwarzać będą wodę w parę, która z kolei będzie stanowić napęd dla turbin, poruszających w zwykłych elektrowniach — generatory.

Prawdopodobnie jednak najwcześniej znajdzie energia atomowa zastosowanie w samolotach o napędzie odrzutowym, które są przyszłością lotnictwa. W samolocie odrzutowym wielkie zastosowanie ma energia cieplna a energia atomowa nadaje się idealnie do dostarczania tego ciepła. Oszczędziłoby się wtedy na ciężarze paliwa, co pozwoliłoby unieść takiemu samolotowi dodatkowe instalacje ochronne. Wielkie powietrzne i dalekobieżne transportowce, kontrolowane przez radio z ziemi mogłyby bez obsługi ludzkiej dostarczać wielkie ładunki na wyznaczone miejsce.

Własności wybuchowe atomu można zastosować np. przy pracach nad użyźnieniem Sahary przez skierowanie wód Morza Śródziemnego, przy budowie podmorskich czy górskich tunelów lub kanałów między oceanami.

Temperatura wytwarzana przy rozbiciu atomu pozwoli na stapianie materiałów jak np. granitu, które stawiały opór zwykłym piecom.

Jak widzimy, zastosowanie do przemysłu dotychczasowej energii atomowej jest ze względu na jej trudność uzyskiwania bardzo ograniczona. Energia dla celów przemysłowych stanie się dopiero wtedy czynnikiem rewolucyjnym, gdy będziemy ją otrzymywać z atomów bardziej dostępnych, pospolitych i tańszych.

Dlatego droga do uzyskania energii atomowej przemysłowej prowadzi nie przez eksploatację uranu i plutonu, ale przez badanie energii, która znajduje się w innych pierwiastkach.

Wybuch bomby atomowej na atolu Bikini
(The Listener)



KONTROLA SPOŁECZNA

Prezes Zarządu „Społem" J. Żerkowski w rozmowie z wysłannikiem „Tygodnia" poruszył aktualne zagadnienia spółdzielcze, łączące się z ogólną sytuacją i polityką gospodarczą naszego kraju.

I. **Budowa „Społem"**, szczytowej organizacji odcinka spółdzielczego została już **zakończona** — stwierdził prezes Żerkowski. Ogromny wysiłek jaki w pierwszym roku działalności nowego „Społem" włożony został w organizację dał bardzo pozytywne wyniki. „Społem" pokrywa siecią swych oddziałów i składnic cały teren Rzeczpospolitej, docierając w najdalsze jej zakątki. Żadna z krajowych instytucji handlowych równie gęstej sieci nie posiada. Spółdzielczość gospodarcza skupia się coraz wyraźniej w Związku „Społem", o czym świadczą połączenie ze Zrzeszeniem Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej, oraz znajdujące się w stadium końcowym analogiczne rozmowy ze spółdzielniami wojskowymi i zamkniętymi spółdzielniami w przemyśle. Również sprawa przejęcia w myśl ustawy o nacjonalizacji przemysłu zakładów przemysłu spożywczego weszła na drogę realizacji przez przejęcie wszystkich większych młynów w liczbie około 750. — W ten sposób spółdzielczość coraz mocniej obejmuje teren codziennych potrzeb szerokich mas społecznych.

II. Równocześnie zaś na płaszczyźnie ogólnej **normalizacja obrotu towarowego** postąpiła bardzo daleko naprzód. Przechodzimy już prawie całkowicie na wolny rynek, oparty o żelazne prawa ekonomiczne — podaży i popytu. „Społem" i spółdzielczość, którvch działalność zawsze nastawiona była zasadniczo na wolny rynek, pojmuje swoją rolę w obecnych warunkach gospodarczych, w pierwszym rzędzie jako zadanie zorganizowania i regulowania tego rynku, co zwalczy istniejące tendencje spekulacyjne. — „Społem" podjęło się rozprowadzenia ogromnej większości artykułów przemysłowych, przeznaczonych przez Państwo dla wzmożenia wymiany między wsią i miastem, — na ogólną kwotę do 10 miliardów zł. do końca b. r. Pragniemy — mówi prezes Żerkowski — zorganizować cały system tej wymiany, ująć zbyt wsi w ramy spółdzielcze, co walnie przyczyni się do oparcia naszej polityki obrotu towarowego na zdrowych podstawach.

III. Z zagadnieniami tymi jednak wiąże się **konieczność właściwej podbudowy ruchu spółdzielczego.** Rola spółdzielczości nie polega tylko na sprawnym rozdziale towarów. Cele jej sięgają dalej, obejmują przebudowę ustroju społecznego. Z tego względu spółdzielczość świadomie bierze swój udział w budowie nowej rzeczywistości polskiej. Ale spółdzielczość będzie tyle warta, ile warci są jej członkowie, a tych z kolei nie można wyodrębniać ze społeczeństwa, o ile ono potrafi współdziałać w budowie gospodarki narodowej.

Spółdzielczość jest objawem inicjatywy najszerszych mas społecznych, a więc może i powinna być aparatem dobrym, bo służącym społeczeństwu. Spółdzielczość zaś oderwana od członków, byłaby tylko aparatem i to aparatem przypuszczalnie złym, albowiem posiadającym wszystkie wady, a prawie żadnych zalet analogicznego aparatu państwowego. „Społem" w tym roku będzie miało prawdopodobnie około 40 miliardów zł. obrotu, lecz wartości „Społem" jak i całego ruchu spółdzielczego nie należy mierzyć tą olbrzymią w naszych stosunkach cyfrą, stawiającą nas w rzędzie największych organizacji handlowych świata, lecz miarą wysiłku członków spółdzielni w dziele kontroli społecznej życia gospodarczego.

Czym się młodzież nie interesuje

„Instytut Badania Czytelnictwa" w Łodzi przeprowadził w jesieni ubiegłego roku badania nad zainteresowaniami czytelniczymi młodzieży szkół średnich ogólnokształcących. Badania objęły cztery ośrodki wielkomiejskie: Łódź, Katowice łącznie z Chorzowem, Warszawę i Kraków. Ankiety przyniosły 5.684 odpowiedzi (Łódź — 1479, Katowice i Chorzów— 1400, Warszawa — 1554, Kraków — 1251) uczniów i uczenic 18 gimnazjów i liceów ogólnokształcących męskich, żeńskich i koedukacyjnych. Z odpowiedzi wynika, że w ogólnej klasyfikacji pierwsze miejsce zajmuje historia. To zjawisko stanowiące bądź co bądź znamienną niespodziankę, stało się przedmiotem szczególnych dociekań ze strony „Instytutu". By dociekania uczynić bardziej wszechstronnymi, pogłębiono je o zagadnienia pokrewne, mianowicie o życiorysy: 1) bohaterów, 2) mężów stanu i działaczy społecznych, 3) uczonych, 4) wynalazców itp.

Zasadnicze pytanie kwestionariusza opiewało: „Z zagadnień wymienionych poniżej podkreślam te, które interesują mnie najbardziej, a których omówienie pragnąłbym znaleźć w książkach". Przy życiorysach zaś zamieszczona była uwaga: „Wymienić nazwisko".

Ogólnie biorąc, historia powszechna nowożytna i najnowsza, Polski i ruchów wolnościowych, interesuje młodzież przeważnie starszą. Jedynie w Warszawie zamiłowanie do historii najnowszej objawia się także u młodzieży młodszej, co się tłumaczy wpływem powstania warszawskiego. Nikt z badanych 2.964 chłopców oraz 2.720 dziewcząt nie objawił zainteresowania historią ani ruchów społecznych ani ekonomicznych.

Nieco, lecz niewiele lepiej, ma się rzecz z życiorysami działaczów społecznych i ekonomicznych. Spotykamy w odpowiedziach nazwiska Marksa (5 razy w odpowiedziach warszawskich, 8 razy w łódzkich oraz 2 razy w katowickich); Engelsa (1 raz Warszawa) oraz Mielczarskiego (1 raz ze strony 13-letniego chłopca w Warszawie) ,Stefczyka (1raz ze strony 10-letniego chłopca w Łodzi) i Miarki (3 razy ze strony 12, 15 i 17-letnich chłopców w Łodzi). Do tego nielicznego zastępu możnaby dorzucić nazwisko Sempołowskiej (1 raz, Warszawa).

Okoliczność, iż przytoczonych działaczów wymienili w przeważnej części uczniowie młodsi, wskazywałoby, że pod omawianym względem oddziałał na nich bądź dom, bądź szkoła. Raczej szkoła, gdyż, jak uczy doświadczenie, wywiera ona większy wpływ na młodzież niż dom. Nadmienić należy, że wypełnienie kwestionariuszów było poprzedzone o kilka dni wypracowaniem domowym lub szkolnym na tematy, związane z książką i czytelnictwem, co miało wprowadzić młodzież w sferę zagadnień, objętych ankietą. Tematy m. in. opiewały: „Do jakich książek wracam najczęściej i dlaczego?" — „Jak urządziłbym własną bibliotekę?" — „Ulubieni autorzy" — „Na jakie książki czekam?" — „Jakie książki dały mi do myślenia?".

Inaczej zapewne przedstawiałby się wynik ankiety, gdyby młodzież miała do dyspozycji książki popularno - naukowe, nie tylko książki o treści anegdotycznej. Z ankiety wynika ponadto pomieszanie pojęć, gdyż młodzież jednym tchem wymienia bohaterów literackich i prawdziwie żyjących. Co gorsza, jako przedmiot swych zainteresowań podaje takie postacie, jak Rasputin, Buffalo i im podobne.

Henryk Eile

Zdjęcie na pierwszej stronie fot. S. Braun

List do Redakcji

LIBERALIZM MORALNY

Nie podobał mi się felieton Jerzego Wyszomirskiego „Imponderabilia" w numerze 3 „Tygodnia". Nie dlatego abym widział w nim złą wolę autora. Przeciwnie — widzę w nim bardzo dobrą wolę, i zdrowy odruch uczciwego Polaka, który protestuje, kiedy się chce jego Naród i jego samego obciążyć ohydą mordów kieleckich. Słuszny, zdrowy odruch. Bodaj tak wszyscy Polacy czuli i wołali.

Ale Wyszomirski jest nie tylko Polakiem — jest jeszcze pisarzem i publicystą, a obowiązkiem pisarza i publicysty jest nie tylko czuć, ale widzieć — i ostrzegać przed niebezpieczeństwem.

Tego obowiązku Jerzy Wyszomirski nie spełnił. Nie widzi i nie ostrzega.

Nie widzi — jednak odpowiedzialności narodu, każdego narodu, za pewne zbrodnie indywidualne. Nie ostrzega przed społecznymi źródłami zbrodni kieleckiej, która może nie być ostatnia, jeżelibyśmy, wraz z autorem wszyscy uczciwi ludzie w Polsce, umyli ręce i poprzestali na słusznym zresztą stwierdzeniu — „ja z tym nie mam nic wspólnego".

Czy i kiedy naród jest odpowiedzialny za indywidualne zbrodnie swych członków? Gdzieś już coś się o tym mówiło... aha, Norymberga.... Norymberga i pięćset tysięcy artykułów we wszystkich językach na temat odpowiedzialności Niemców, wszystkich Niemców za Oświęcim i wszystko co to słowo znaczy.

Zdaje mi się, że mają rację ci, którzy obciążają cały naród niemiecki odpowiedzialnością. Zdaje mi się, że naród odpowiada za zbrodnie swych obywateli, o ile: 1) zbrodnie mają charakter masowy, 2) o ile zbrodnie jednostek rodzą się z atmosfery społecznej i ideologicznej, 3) o ile protest narodu wobec zbrodni jest zbyt słaby.

Na szczęście nie zaszliśmy nawet w drobnej części tak daleko jak Niemcy, ani w wymiarach, ani w masowości zbrodni, ani w potędze zbrodniczej atmosfery, a i protest zdrowej większości naszego narodu, choć za słaby — jest nieskończenie silniejszy od żadnego protestu niemieckiego.

Niestety nie możemy zaprzeczyć, że zbrodnia kielecka i jej podobne przybierają charakter masowy. Nie możemy zaprzeczyć, że istnieje w Polsce społeczna i ideologiczna atmosfera zbrodni — antysemityzm. Tak jest. ten sam niemiecki antysemityzm. I trudno zaprzeczyć, że protest sporej części społeczeństwa był zbyt słaby. Dla zbyt wielu ludzi w Polsce chrześcijaństwo. katolicyzm są jedynie sposobem dyskryminacji innowierców.

Dlatego nie możemy. po stokroć niestety, zwolnić się, jako naród od odpowiedzialności.

Stąd daleko do kwalifikowania się odrazu jako naród barbarzyński, albo na pół niemiecki. Każdy naród kulturalny ma swoje grzechy i plamy. Miała Francja Afrykę i Anglia — Indie, a Stany — murzynów. Nikt przecież nie waha się nazywać Francuzów, czy Anglików narodem kulturalnym.

Nie mam wątpliwości, że jesteśmy narodem kulturalnym. Ale naród kulturalny musi mieć poczucie odpowiedzialności i moralności społecznej, która powiada: nie wystarcza byś sam był praw — musisz walczyć o prawość.

Felieton Wyszomirskiego jest słuszny w tym, co mówi — jest głęboko niesłuszny w tym co przemilcza. Nie wolno osłabiać poczucia odpowiedzialności narodu za zbrodnie kieleckie, bo stoczymy się po tej równi, po której od setek lat staczał się naród niemiecki, właśnie dlatego, że zawsze składał się ze zbrodniczej mniejszości, która działała i bogobojnej większości, która umywała ręce. A wtedy nie pomoże nam ani Modrzewski, ani Kochanowski, ani Staszic czy Kołłątaj, ani wszyscy inni, wypełniający wielkimi nazwiskami parę wierszy felietonu J. Wyszomirskiego, ani sam autor odważnie walczący z antysemityzmem w Wilnie w 1937 roku, jak już nie pomoże Niemcom Goethe, Schiller, Heine, ani sam Ossietzky.

Jak zawiódł indywidualistyczny liberalizm gospodarczy na rzecz społecznych tam gospodarki, tak w skali narodowej zawodzi indvwidualistyczny liberalizm moralny p. Wyszomirskiego na rzecz społecznych norm moralności.

A. R.

„POLONIA"

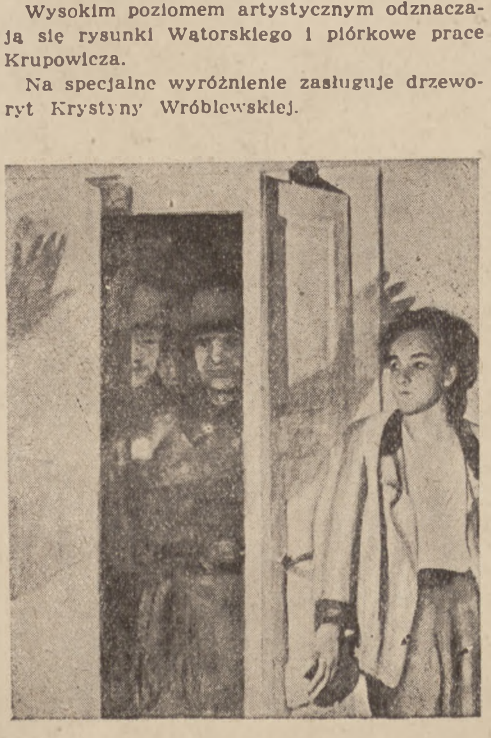
Grupa artystów plastyków krakowskich zorganizowała wystawę objazdową swych prac p. t. „Polonia".



Z pośród wystawionych obrazów wysuwają się na plan pierwszy prace Weissa: „Policja" i „Wiosna" oraz Demczuka: „Majdanek" i „Wizyta Himmlera".

Wysokim poziomem artystycznym odznaczają się rysunki Wątorskiego i piórkowe prace Krupowicza.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje drzeworyt Krystyny Wróblewskiej.



SZWEDZI INTERESUJĄ SIĘ MĄKĄ POMORSKĄ

NAJWIĘKSZY I NAJSTARSZY MŁYN WODNO-TURBINOWY W POLSCE

Jak się dowiadujemy, poważne szwedzkie firmy mączno - zbożowe zabiegają o żywszy kontakt handlowy z największym w tej chwili młynem na Pomorzu.

Jest to młyn lubicki, pod Toruniem, jako młyn wodno - turbinowy największy w całej Polsce, o zdolności przemiałowej 120 ton na dobę i wyposażony w 75 walców. Młyn ten został przez „Społem" przejęty w maju ub. roku i po przeprowadzeniu kosztownych inwestycyj w rekordowym czasie uzdolniony do obsługi kraju.

Niewątpliwie po przeprowadzeniu dalszych remontów, już mniejszych, młyn lubicki będzie spełniał zadania o szerszym, niż krajowy, zasięgu.

„Społem" posiada na Pomorzu 5 większych młynów: w Lubiczu, Tucholi, Gniewkowie, Włocławku i Wąbrzeźnie.

Po dzień 31.III. r. b. w tych młynach przemielono zboża:

Młyn w Lubiczu	9.953.442 kg.
„ Gniewkowie	859.000 „
„ Włocławku	4.468.000 „
„ Wąbrzeźnie	2.039.704 „
„ Tucholi	351.065 „

Łączna ilość zatrudnionych w „społemowskich" młynach pracowników wynosi: 239 osób.

Wszystkie te młyny „Społem" przejęło w stanie mniej lub więcej przez okupantów zdewastowanym. Montaż przeprowadzono własnymi zasobami finansowymi, a proces inwestycyjny nie został jeszcze ukończony.

Notatki bibliograficzne

I. Wydawnictwa Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych

Skrócone przepisy katalogowania alfabetycznego. Wybrali i opracowali Józef Grycz i Władysława Borkowska. Warszawa 1946. Str. 92.

Czesław Wycech. Podstawowe zagadnienia pracy społeczno - wychowawczej szkół. Referat wygłoszony 14.II.1946 na zjeździe pedagogicznym Z. N. P. w Łodzi. Warszawa 1946. Str. 27 i 1 nl.

Kazimierz Budzyk. Utwór literacki oraz książki, gazety i czasopisma na poziomie ośmioletniej szkoły podstawowej. Wskazówki do nowego programu. Warszawa 1946. Star. 120.

Dr. Zofia Podkowińska. Człowiek w czasach przedhistorycznych. Warszawa 1946. Str. 192.

Włodzimierz Michajłow. Rozwój świata organicznego. Warszawa 1946. Str. 36 i 4 nl.

Włodzimierz Michajłow. Jak powstało życie na ziemi. Warszawa 1946. Str. 25 i 3 nl.

Regina Fleszarowa. Historia ziarnka piasku Warszawa 1946. Str. 19 i 1 nl.

Regina Fleszarowa. Co opowiadają o sobie ziarnka piasku. Warszawa 1946. Str. 15 1 nl.

OBRONA STARÓWKI

W numerze dzisiejszym rozpoczynamy druk fragmentów z mającej się ukazać książki p. t.: „Moje wspomnienia z konspiracji i powstania" kpt. Ognistego, zastępcy dowódcy pododcinka „Gozdawy", oficera operacyjnego w czasie Powstania Warszawskiego na Starym Mieście, a następnie w Śródmieściu.

PIERWSZY DZIEŃ

Na kwaterach alarmowych z niecierpliwością oczekiwaliśmy godziny „W", wyznaczonej rozkazem na dzień 1 sierpnia 1944 r. Ludzi na ulicach mało, bo przynajmniej połowa ludności wiedziała, że o godzinie 17-ej miało się rozpocząć powstanie. Żoliborz nerwowo nie wytrzymał i działanie zaczepne rozpoczął o godzinie 14-ej. Stamtąd dochodziły nas odgłosy walki. Na Placu Krasińskich zjawiły się niemieckie czołgi i samochody pancerne, które podążały na Żoliborz. Odpowiednia chwila aby je zaatakować. Z domów Miodowa 24 i Długa 15 padają pierwsze strzały, za chwilę rozpoczęła się kanonada. Sypią się szyby, są już pierwsi ranni, znoszą ich do bramy i na dziedziniec kościoła Garnizonowego. Na dziedzińcu Długa 15 oddziały przygotowują się do natarcia na samochody niemieckie, którym odcięto drogę na Żoliborz. Na kwaterze stawiło się 901 ludzi, w tym 32 oficerów, 46 podchorążych, 191 podoficerów i 590 strzelców oraz 37 kobiet (łączniczek i sanitariuszek), natomiast według raportu mieliśmy broni 1 PM, 2 kb., kilkanaście pistoletów i 30 granatów. Mimo tej szczupłej broni chrzest młodych bojowców armii podziemnej okazał się wspaniałym zrywem. Niemcy musieli zrejterować. Na ulicach pojawili się powstańcy z opaskami biało-czerwonymi. Widok ten wzruszył wszystkich, niejednym wycisnął łzy radości.

Patriotyczna ludność „Starówki" gromadnie zgłaszała się do szeregów, zarówno młodzi jak i starzy, kobiety i dzieci, nie zważając na strzały, nie mając żadnych narzędzi śpieszyła do budowy barykad, używając do tego wagonów tramwajowych, słupów z nienawistnymi ogłoszeniami niemieckimi, kiosków, pozostawionych wózków, bel papieru, mebli i płyt chodnikowych. Wszyscy pracowali namiętnie i gorączkowo, aby odgrodzić się od atakujących czołgów i samochodów pancernych.

Nadeszły pierwsze pocieszające meldunki, za wyjątkiem meldunku ppor. Wyrwy z Freta 49, który donosił, że nieprzyjaciel usiłował czołgami i samochodami pancernymi wedrzeć się do Starego Miasta od ul. Sanguszki i Zakroczymskiej w kierunku ul. Freta. Kpt. Gozdawa zarządził przeniesienie dowództwa baonu na ul. Freta, bowiem Plac Krasińskich był już wolny. W dużej mierze przyczynił się do tego oddział kpt. Łady, który operując po drugiej stronie Placu Krasińskich opanował gmach Sądu Apelacyjnego i zdobył C. K. M. oraz wziął 40 jeńców niemieckich.

ATAK NA PAŃSTWOWĄ WYTWÓRNIĘ PAPIERÓW WARTOŚCIOWYCH

Nazajutrz patrol bojowy plut. podch. Sokoła doniósł, że załoga niemiecka w sile 50—60 ludzi, dobrze uzbrojona zajęła stanowisko na wszystkich piętrach P.W.P.W.. Mimo to przystąpiono do szturmu. Główne uderzenie skierowano od ul. Freta i Zakroczymskiej na bramę żelazną P.W.P.W. Przedostanie się przez wysoki parkan pod ogniem npla — było rzeczą niemożliwą, trzeba było kruszyć bramy granatami. W tym czasie nadjechały trzy wozy pancerne z „kałmukami" i ustawiły się tuż przed P.W.P.W. kierując ogień na ul. Freta.

Chłopcy poprzez ogrody i posesje domów ul. Zakroczymskiej podczołgali się do samochodów i zlikwidowali je butelkami z benzyną i granatami. Samochody poczęły płonąć, a z nich wyskakiwali strwożeni „kałmucy".

Widowisko niesamowite — jeńcy z podniesionymi rękami biegli, prowadzeni przez dwóch chłopców, niosących zdobyty C.K.M. Walka dalej toczyła się u bram P.W.P.W., celny rzut granatem zniszczył żelazną zaporę. Chłopcy z wielkim entuzjazmem i krzykiem dopadli dolnych kondygnacji budynku. Po krótkiej walce Niemcy wycofali się na piętro. Tutaj walka rozgrywała się niemal o każdy zrąb, o każdy pokój z osobna. C.K.M-y npla ustawione na dachu P.W.P.W. prażyły w kierunku ul. Nowe Miasto i Freta. Trzeba było pod osłoną budynków dosyłać pomoc. Broni było mało, to też otrzymywali ją tylko ci, którzy w pierwszych walkach okazali hart i odwagę. Po zdobyciu dalszych pięter, zaopatrywano się w broń i granaty. Po dwugodzinnej walce całe P.W.P.W. zostało opanowane, przy minimalnych stratach 2 zabitych i 3 rannych.

Ta pierwsza większa akcja udała się nadspodziewanie i wywołała wielki entuzjazm śród mieszkańców „Starówki", a powstańcy przez to zwycięstwo nabrali pewności siebie i poczucia swej siły. Trzeba było widzieć niedający się opisać entuzjazm naszych chłopców, którzy z butelkami z benzyną, z granatami, a nawet z kamieniami uderzyli na bramy. Niemal całą ulicą biegli powstańcy z krzykiem „hurra" i wdzierali się do wnętrza gmachu. Najwięcej cieszono się ze zdobytej broni, szczególnie z C. K. M. i amunicji w taśmach. Wszyscy, którzy brali udział w akcji na P. W. P. W. nie zapomną nigdy radości, jaka towarzyszyła im w walce.

Z R Z U T Y

W godzinach popołudniowych 4 sierpnia otrzymaliśmy wiadomość, że otrzymamy zrzuty z Anglii, toteż kiedy w nocy usłyszano warkot samolotów, wszyscy niemal wybiegli, aby zobaczyć te samoloty, oczekiwane w 1939 r. i podczas całej okupacji. Pomimo silnego ognia zaporowego—samoloty alianckie zdołały się zniżyć i dokonać zrzutów. Nareszcie mamy broń... każdy chciał ją zobaczyć, dotknąć i choć trochę ponieść... Pośpiesznie rozpakowujemy... są steny i amunicja cal. 9 mm. Przynoszą dalsze paczki o większych rozmiarach. Rozpakowujemy je z wielkim zaciekawieniem. Okazuje się, że są to piaty, słynne „pancerfausty" i pociski do nich. Wszystko dobrze zapakowane. Nic nie uszkodzone — zdolne do natychmiastowego użycia. Do nich mamy dołączone instrukcje pisane po polsku. Chłopcy już zgłaszają się na ochotników do obsługi nowej broni. Pierwszy zgłasza się „Garbus"—z wyglądu i pseudonimu; nie znam jego nazwiska, ale uściskałbym go dzisiaj, jak wtedy na barykadach, kiedy zaprezentował się, jako urodzony „piacista". Dosłownie w dwie godziny po zrzucie, czytając instrukcję w drodze, ruszyłem wraz z obsługą piata na redutę Banku Polskiego, gdzie według meldunku dowódcy reduty kpt. Zdana — „Tygrys" atakował uparcie barykadę na Bielańskiej i usiłował wedrzeć się w nasze stanowiska. „Garbus" był w swoim żywiole, podchodził i skradał się jakby na polowaniu. Nagle padł strzał — użycie piata okazało się piorunujące. Jeden celny pocisk w maskę silnika spowodował natychmiastowy wybuch i „Tygrys" legł poszarpany wraz z obsługą.

BOHATERSKA DZIEWCZYNA

Tego dnia kronika batalionu notuje bohaterstwo 16-letniej dziewczyny, która na Placu Zamkowym wysadziła w powietrze czołg nieprzyjacielski przy pomocy butelki z benzyną. Nazwiska jej niestety nie pamiętam, została ranna i odtransportowana do szpitala Jana Bożego.

ARMIA KRAJOWA I ARMIA LUDOWA

W czwartym dniu walk na Starym Mieście ujawniła się A. L. (Armia Ludowa). W tym dniu zjawił się w dowództwie baonu im. Czarneckiego kpt. Szwed (obecnie płk. Szaniawski) z A. L. proponując współpracę i podporządkowując się rozkazom kpt. Gozdawy, przy czym kpt. Szwed przedstawił pełnomocnictwo treści następującej:

„Armia Ludowa — Dowództwo Warszawskie M. P. 4.8.1944 r.

Pełnomocnictwo.

Deleguję kpt. Szweda, oficera operacyjnego przy Dowództwie Armii Ludowej — do Dowództwa Armii Krajowej — celem wspólnego omówienia i uzgodnienia taktyki wzajemnego współdziałania i przygotowania do obrony odcinka Starego Miasta. — Dowództwo A. L. Warszawskie" —

Kpt. Edward — pieczęć.

W okresie walk na Starym Mieście nie było żadnych różnic między żołnierzami Armii Krajowej, Armii Ludowej i Milicji Socjalistycznej.

Świadczą o tym chociażby następujące meldunki: ‚M. P. 14.VIII.1944 r.



Nad mogiłą obrońców. (fot. S. Braun)

Do Dowódcy odcinka kpt. Gozdawy.

Melduję, że zająłem stanowisko do dokonania ostrzelania artylerii npla. Ostrzelania nie dokonałem z powodu uszkodzenia K. M.

Pozdrowienia

(—) Szwed kpt.

Drugi meldunek: „M. P. 14.VIII.1944 godz. 11.30.

Do Dowódcy oddziału kpt. Gozdawy.

Informacji dokładnych z odcinka Miodowa—Zamek jeszcze nie mam. Na odcinku od Zamku do Kościelnej tylko ul. Mostowa ostrzeliwana ogniem artyleryjskim, na reszcie odcinka ogień nękający z dział i miotaczy min. Ruchów npl. piechoty nie ma.

Pozdrowienia

(—) Szwed kpt.

M. P. 14.VIII.1944 r. godz. 2-ta.

Do Pana kpt. Szweda, D-cy A. L.

Proszę o łaskawe przybycie do mojej kwatery, o ile możliwe zaraz, celem omówienia sprawy unieszkodliwienia artylerii npla.

(—) Ognisty kpt.

D E F I L A D A

6-go sierpnia. Pierwsza niedziela w powstaniu, od 5 lat wolna! Tego dnia odbyło się pierwsze uroczyste nabożeństwo dla polskiego żołnierza w kościele Garnizonowym przy ul. Długiej. Stare Miasto przybrało wygląd uroczysty. Nad bramami domów powiewały flagi biało-czerwone. Balkony i okna udekorowane. Kościół wypełniony wojskiem i ludnością cywilną. Po wspólnym przyjęciu Komunii świętej odbyła się podniosła przysięga. Ksiądz Łukasz w towarzystwie kpt. Ognistego i ppor. Wyrwy odebrał przysięgę od żołnierzy kolejno grupami po 5-ciu, następnie w podniosłych słowach przemówił do żołnierzy. Nabożeństwo zakończyło się odśpiewaniem: „Boże coś Polskę" i „Roty".

Po nabożeństwie batalion uformował się do defilady, którą miałem zaszczyt prowadzić.

Otrzymaliśmy tego dnia pierwsze gazetki ze śródmieścia, donoszące nam o walkach w pozostałych dzielnicach Warszawy, o życiu codziennym, teatrach i kinach; my na Starówce już od kilku dni nie mieliśmy ani światła ani wody, już odwykliśmy od tych luksusów. W tym okresie jedynie Wola dzieliła los Starówki i przeżywała straszne dni bombardowań i pożarów.

O D W E T

Niemcy wynaleźli jeszcze jedną broń przeciwko naszym barykadom. Pędzili setki dzieci, jako osłonę „Tygrysów", atakujących nasze barykady i tchórzliwych gestapowców i Ukraińców, postępujących za czołgami. Ale i to chybiło celu, gdyż kobiety, dzieci i starsi mężczyźni szli wolno, ze zrozumiałym oporem, a nasi wyborowi strzelcy zawsze znaleźli z boku dogodną pozycję, aby ustrzelić Niemca. Najczęściej dopuszczano ich na bliską odległość, a wtedy następował z naszej strony kontratak i niecne zamiary Niemców były likwidowane całkowicie. Przy tym wiele kobiet i dzieci udało nam się wyrwać z rąk wroga. Tak było przed redutą Banku Polskiego. Niemcy dwukrotnie jednego dnia pędzili ludność cywilną na nasze barykady. Kpt. Zdan, dowódca reduty zastosował w tym dniu odwet, bo sprowadził jeńców niemieckich i zmusił ich do wejścia na barykadę w momencie kiedy ich towarzysze uporczywie nacierali. Nagle Niemcy przestali atakować i strzelać. Przy tej okazji wywiązał się humorystyczny dialog i okrzyki z pogróżkami. Od tej chwili tych barbarzyńskich metod nie stosowali.

ZDOBYCIE BRONI. — „PESTKI"

Największą dla nas troską stanowiło zdobywanie broni. Oficerowie, podoficerowie i żołnierze na własne ryzyko, nieraz w tajemnicy urządzali sobie nocne wypady na nieprzyjaciela — po broń. W dniu 11 sierpnia grupa por. Domańskiego (Drozdowskiego Czesława) i kpr. podchor. Kani z Kompanii Wypadowej przedsięwzięła wyprawę po broń na Plac Teatralny. Zaskoczenie nieprzyjaciela było tak wielkie, że wyprawa została uwieńczona wspaniałymi zdobyczami w postaci działka panc. i kilku karabinów z amunicją. W akcji wyróżnili się: por. Domański, podchor. Lubicz i kapral Rachwalski, którzy mimo odniesionych ran ściągnęli na nasze pozycje działko, wyrządzające nam dotychczas wiele szkód przez ciągłe ostrzeliwanie ul. Senatorskiej i Daniłowiczowskiej.

Na specjalne wyróżnienie zasługuje kompania motorowa „Orląt" pod dowództwem por. Stacha (Srzednickiego Stanisława), która przeprowadziła szereg śmiałych wypadów i zdobyła tyle broni, że cała kompania została uzbrojona. Kompania ta posiadała najbardziej ofiarnych żołnierzy, składających się przeważnie z młodzieży gimnazjalnej, harcerskiej i akademickiej.

Także wiele patroli do „getta" wysyłał na „polowanie broni" por. Jar (Radzikowski Edward) dowódca 6 kompanii. Do śmiałych zagończyków" tej kompanii należeli bracia: kpr. Rachwalski Józef i starszy strzelec Rachwalski Stanisław oraz strzelec Warzewski Zdzisław, którzy często wracali z nocnych wycieczek obładowani bronią i amunicją. Nie przychodziło im to łatwo, trzeba było działać ostrożnie i zaskakiwać patrole niemieckie. Zwykle przyprowadzali ze sobą także jeńców.

Pierwsi jeńcy wojenni. (fot. S. Braun)



Trochę granatów i broni otrzymaliśmy drogą kanałową ze śródmieścia. Przenosiły je „pestki", łączniczki małego wzrostu, ponieważ musiały przechodzić małymi kanałami. Odbiór „pestek" następował we włazie kanałowym przy domu Spiessa na ul. Daniłowiczowskiej . Drogą kanałową została również nawiązana łączność telefoniczna za pomocą sieci podziemnej. Szefem służby telefonicznej był por. „Ciotka".

MIOTACZE OGNIA WŁASNEJ PRODUKCJI

Miłą niespodziankę miało dowództwo Starego Miasta, gdy w dniu 10 sierpnia por. Jar zademonstrował w obecności zebranych oficerów pierwsze miotacze ognia wykonane przez specjalistów — pirotechników: plutonowego Gryczuka i kaprala Guzowskiego. Miotacze te okazały się nadzwyczajne i zostały niebawem użyte do akcji. Wykonały one swoje zadanie na redutach Ratusza, Banku Polskiego i Kanoniczek: wiele czołgów zostało dzięki nim spalonych i one właściwie powstrzymywały wrogów od zbliżania się do naszych barykad.

Niejednokrotnie obsługa miotacza ognia jak i obsługa piata musiała biegać z jednej barykady na drugą, gdyż sytuacja wymagała użycia ich równocześnie w wielu punktach. Tam, gdzie czołgi usiłowały sforsować barykady, zjawiał się nagle miotacz ognia lub piat i sam jeden stawał wobec potworów. W tej niezmiernie trudnej walce, kiedy trzeba było podejść blisko czołgu, jedna obsługa miotacza, ukryta za zwałami ruin czatowała, aż czołg zbliży się na taką odległość, że płomienie mogły dosięgnąć serca motoru. Np. obsługa miotacza ognia z dowódcą starszym strzelcem Śmiałkiem dokonywała cudów, będąc ukryta w ruinach sklepu Bruna na rogu ul. Bielańskiej i Placu Teatralnego. Miała ona na swoim rozkładzie wiele czołgów. Cała obsługa wraz z miotaczami ognia zginęła od bomb i została zasypana gruzami.



Eksplozja bomby w „drapaczu chmur" na Pl. Napoleona. (fot. S. Braun).



Silny obstrzał i brak wody nie pozwalał na gaszenie pożarów. (fot. S. Braun).

11-LETNI KAPRAL — BOHATER

Nieprzyjaciel ostrzeliwał ogniem granatników całe ulice i podwórza. Granaty padały prawie jeden obok drugiego. Podczas takiego ognia nieraz trzeba było przesuwać oddziały z jednej barykady na drugą. Przed granatnikiem nie było żadnej zasłony skutecznej, bo padał torem stromym i niejednokrotnie zdarzało się, że granat wpadł przez okno do klatki schodowej, mieszkania, bram i kominów. Wśród łączników bojowych, biegnących w pośpiechu z meldunkiem — ogień granatników i broń maszynowa wyrządzały największe straty. Od treści meldunku zależało nieraz utrzymanie barykady lub uniknięcie zaskoczenia npla znienacka. Łącznicy rekrutowali się przeważnie z młodych chłopców, a później nawet z dziewcząt.

Do najdzielniejszych gońców należał strzelec „Warszawiak" (Modelski Witold). Był to chłopczyk jedenastoletni. Jego bohaterstwo nie ma równego w historii. Ubrany był jak prawdziwy żołnierz: w hełmie francuskim, w mundurze żołnierskim, a za pasem nosił granat ręczny (Handgranat). Tam, gdzie nikt z łączników nie odważył się biec z meldunkiem — „Warszawiak" zawsze zgłaszał się na ochotnika, mimo huraganowego ognia przebiegał szybko i zwinnie jak kot, od zasłony do zasłony, czasami zdawało się, że pociski specjalnie go oszczędzają. Strzelec „Warszawiak" za położone zasługi dla sprawy ojczystej — został mianowany, mimo młodocianego wieku, kapralem czasu wojny i odznaczony „Krzyżem Walecznych".

KANADYJSCY LOTNICY

W nocy z 12 na 13 sierpnia nadleciały znowu samoloty alianckie. Mimo wściekłej obrony przeciwlotniczej, zrzuciły nam ładunek broni i amunicji. Gdy nadleciała druga fala samolotów alianckich, które usiłowały na Plac Krasińskich zrzucić ciężki ładunek broni przeciwpancernej, ogień zaporowy artylerii niemieckiej był tak silny, że całe niemal niebo pokryte było pociskami zapalającymi różnego rodzaju broni. Jeden samolot angielski typu „Lancaster" — chcąc przebić się przez zaporę ogniową, obniżył gwałtownie lot' kierując się wzdłuż ulicy Miodowej na Plac Krasińskich.

Nagle tuż obok kościoła Garnizonowego — samolot zapalił się i runął na ul. Miodową. Olbrzymie skrzydła samolotu dosłownie skosiły dachy przyległych domów. Od pożaru zapalił się dom przy ul. Miodowej 22. Mimo gwałtownego rozprzestrzenienia się ognia, chłopcy rzucili się do płonącego samolotu, chcąc ratować bohaterskich lotników. Niestety żaden z nich już nie żył, wydobyli jedynie ich ciała, częściowo zwęglone. Byli to kanadyjczycy, którzy z takim uporem i poświeceniem nieśli nam pomoc.

Cześć ich pamięci.

Ciała ich zniesiono do zakrystii kościoła Garnizonowego, gdzie urządzono im wspólny grób na placu przylegającym do kościoła.

Powstańcy rozmontowali i wydobyli z samolotu działko przeciwpancerne i 3 N. K. N. (najcięższe karabiny maszynowe). W czasie tej akcji chłopcy zostali poważnie poparzeni i niektórych musiano skierować do szpitala przy ul. Długiej 13. Jeden N.K.N. był przepalony i nie można go było wyremontować. Dwa pozostałe ,choć poważnie uszkodzone— kpt. Bitny - Szlachta, kierownik rusznikarni doprowadził do stanu używalności i służyły nam wydatnie na barykadach i redutach, prawie do ostatnich walk na „Starówce". W końcu sierpnia na barykadzie przy ul. Miodowej — jeden N.K.N. został zasypany gruzami wraz z obsługą, pozostał tylko jeden, który 1 kompania wypadowa przeniosła kanałami do śródmieścia.

WYSADZENIE NIEMCÓW W BANKU POLSKIM

21 sierpnia walki na reducie Banku Polskiego rozgorzały z niebywałą zażartością. Nieprzyjaciel wdarł się do prawego skrzydła Banku Polskiego i rozpoczął podpalać wszystkie otaczające budynki. Jako oficer operacyjny otrzymałem rozkaz usunięcia nieprzyjaciela z reduty za wszelką cenę. Zadanie to było bardzo trudne, ponieważ nieprzyjaciel znajdował się na pierwszym piętrze prawego skrzydła gmachu i dojście do niego było możliwe tylko przez klatkę schodową od dołu. Każde wytknięcie nosa spotykało się ze zrzuceniem granatów ze strony Niemców. Stwierdzono ponadto, że nieprzyjaciel będzie prawdopodobnie usiłował wysadzić w powietrze polską załogę Banku Polskiego, znajdującą się w innych skrzydłach, gdyż czujki usłyszały kucie w murze i zaobserwowały sprowadzenie materiału wybuchowego. Trzeba było ich uprzedzić. Wysłałem więc łącznika z meldunkiem po saperów, celem wysadzenia w powietrze tej części budynku, w której znajdowali się Niemcy.

Załogę reduty Banku Polskiego podzieliłem na trzy części: por. Piotr w momencie wybuchu miał uderzyć z lewej strony od bramy głównej, ppor. Napoleon podziemiami, a por. Maciejewski korytarzem po prawej stronie tych oddziałów. Tymczasem sytuacja stawała się coraz groźniejsza, bo pożary szalały ze wszystkich stron, tak, że były trudności z wysłaniem łącznika po saperów. Z braku wody trzeba było gasić piaskiem przynajmniej w jednym miejscu, aby utrzymać przejście i połączenie z tyłami. Po wielkim wysiłku udało się zasypać piaskiem przejście na ul. Hipoteczną Nr 3. Po usunięciu tej trudności była druga, droga bowiem znajdowała się pod obstrzałem C.K.M-u. Jak zwykle zgłosił się na ochotnika wspomniany już wyżej 11-o letni kapral „Warszawiak", który pięknie salutując oświadczył, że pójdzie z meldunkiem, lecz prosi o przydzielenie mu pistoletu „5-ki". Cóż miałem robić? Znalazła się „piątka" dla tego małego bohatera, który w ciągu 20 minut sprowadził patrol saperów z por. Klucznikiem. Saperzy założyli dynamit pod prawe skrzydło Banku na pierwszym piętrze, gdzie było około 50 — 60 Niemców. Trzeba było robić szybko i bardzo ostrożnie. Pionierzy zdjęli buty i boso przemknęli wąskim korytarzem, po czym w suficie założyli materiał wybuchowy. Tymczasem wyznaczone oddziały czekały na sygnał wybuchu, aby uderzyć na Niemców. Zakładanie dynamitu trwało nie dłużej niż 8 — 10 minut. Wreszcie nastąpił ogromny wstrząs, głucho rozlegający się po ruinach Banku. Pył, gruz i cegła posypały się wokoło. Oddziały nasze ruszyły do natarcia. Ppor. Napoleon ze swoją drużyną wdarł się przez główną halę na miejsce zburzonego skrzydła i radość była nieopisana. Niemcy wszyscy zginęli, 2-ch tylko pozostałych przy życiu wzięto do niewoli. Odnalazł ich kpt. Wytyczyński; byli tak oszołomieni, że nie reagowali na nasze pytania. Na miejscu znaleziono kabel i paczki z dynamitem, przygotowane przez Niemców do wysadzenia Polaków. Wkrótce sztandar zdjęto, aby nie orientować somolotów nieprzyjacielskich, które krążyły nad Bankiem.

NIEMCY UŻYWAJĄ GAZÓW — DZIELNE SANITARIUSZKI

24 sierpnia Niemcy po raz pierwszy zrzucili granaty gazowe przez otwory okienne na ul. Długiej 27 i 29. Niektórzy żołnierze ulegli poważnemu zatruciu i przekazani zostali na punkt sanitarny, znajdujący się w podziemiach hotelu Polskiego (Długa 29). W tej krytycznej chwili sanitariuszki: Elżbieta (Fojucka Aniela), Sławka (Martyniak Mieczysława) i Halina wykazały niespotykany hart ducha. Spełniały każdą funkcję obrońcy na barykadzie, oraz jako sanitariuszki ściągały niejednokrotnie rannych z przedpola silnie ostrzelanego, a także pracowały na równi z mężczyznami przy gaszeniu pożarów. W momencie najbardziej krytycznym sanitariuszki Elżbieta i Sławka ubezpieczały redutę przy pomocy granatów ręcznych od ul. Długiej. Jedna z łączniczek Róża (Żukowska Zofia) biegnąc z meldunkiem od kpt. Gozdawy na barykadę ul. Długa 37 — dostała się pod ogień karabinów maszynowych i zginęła tuż przy barykadzie. Druga sanitariuszka Sławka poległa w czasie przebicia się oddziałów na ul. Bielańską i Tłomackie.

c. d. n.

Kpt. Ognisty

Obrońcy Starówki komunikują się ze śródmieściem i Żoliborzem kanałami. (fot. S. Braun).



Nie ma już getta w Warszawie

dalszy ciąg pamiętników oprawcy getta warszawskiego generała S.S. — Stroopa.

Główne siły Żydów, pozostające w łączności z polskimi bandytami, wycofały się w ciągu pierwszego względnie drugiego dnia na plac Muranowski. Tu siły te zostały wzmocnione przez większą ilość polskich bandytów. Celem ich było umocnić się za wszelką cenę w getcie, aby zapobiec wtargnięciu naszych sił. Na jednym z gmachów zostały zatknięte flagi: polska i żydowska, jako wezwanie do boju przeciwko nam. Obydwie chorągwie mogły być już w drugim dniu walk przez specjalną grupę bojową zdobyte. W czasie tej walki z bandytami, poległ ppor. SS Dehmke, któremu od strzału nieprzyjacielskiego eksplodował w ręce granat i ranił go śmiertelnie".

„Zaraz po pierwszych dniach zrozumiałem, że poprzednio przewidziany plan jest niemożliwy do przeprowadzenia..."

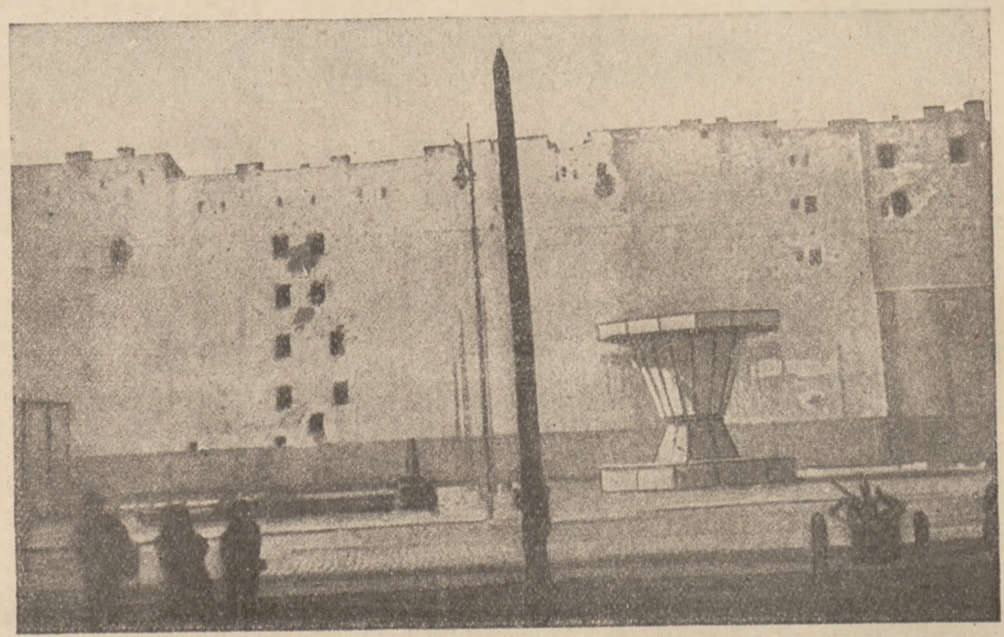
„Żydzi mieli w swych rękach wszystko — od środków chemicznych dla sporządzania materiałów wybuchowych do uzbrojenia i umundurowania. Kierownicy przedsiębiorstw zbrojeniowych w getcie tak dalece nie panowali nad biegiem pracy, że Żydzi mieli możność produkowania tam materiału wojennego wszelkiego rodzaju. Nadto, udało się Żydom urządzić w tych przedsiębiorstwach gniazda oporu. Jeden z takich punktów musiał być już w drugim dniu zdobywany przez oddziały pionierów za pomocą miotaczy ognia oraz przy pomocy obstrzału artylerii. W przedsiębiorstwie tym Żydzi tak się umocnili, że było niemożliwością zmuszenie ich do poddania się. Wobec tego zdecydowałem zniszczyć przy pomocy ognia następnego dnia to przedsiębiorstwo".

„Liczba wyprowadzonych w pierwszych dniach z domów schwytanych Żydów była stosunkowo niewielka. Okazało się, że Żydzi ukryli się w kanałach i specjalnie przygotowanych bunkrach. Podczas gdy w pierwszych dniach stwierdzono, że istnieją pojedyńcze bunkry, to w toku dalszej akcji okazało się, iż całe getto systematycznie zaopatrzone jest w piwnice, bunkry i przejścia. Wszystkie te przejścia i bunkry, w każdym wypadku, miały dojście do sieci kanalizacyjnej. Skutkiem tego Żydzi mieli możność swobodnego poruszania się pod ziemią. Kanały służyły też Żydom za podziemne przejście do dzielnicy aryjskiej miasta. W toku akcji nadchodziły meldunki, że Żydzi próbowali wycofania się kanałami".

„Podczas budowy schronów przeciwlotniczych w byłej dzielnicy żydowskiej stawiano bunkry, które miały być punktami oporu i miejscami organizowania sił żydowskich, bowiem Żydzi przewidywali nową akcję wysiedleńczą. Dzięki napisom na murach, ulotkom i szeptanej propagandzie komunistyczny ruch oporu w byłej dzielnicy żydowskiej osiągnął to, iż natychmiast z początkiem nowej wielkiej akcji bunkry zostały obsadzone. Jak starannie i przewidująco pracowali nad tym Żydzi, świadczy fakt, że w wielu wypadkach stwierdzono pomysłowe urządzenie bunkra, zaopatrzonego w mieszkania z łazienkami, ustępami, składnicami broni i amunicji oraz wielkimi zapasami żywności na przeciąg kilku miesięcy. Wyszukanie poszczególnych bunkrów przez oddziały bojowe było szczególnie trudne".

„Zaraz w pierwszych dniach stało się jasnym, że Żydzi w żadnym razie nie myślą o dobrowolnym przesiedleniu. Natomiast są zdecydowani wszelkimi środkami i stojącą do ich dyspozycji bronią stawić opór. Pod dowództwem polsko-bolszewickim utworzyły się uzbrojone grupy bojowe, które płaciły każdą cenę za zdobycie broni. Żydzi, którzy w czasie wielkiej akcji zostali schwytani i natychmiast odtransportowani do Lublina wzgl. Treblinki — i stamtąd uciekli, zaopatrzeni w broń i amunicję, wracali do getta. Polscy bandyci znajdowali zawsze w getcie schronienie i byli tam bezpieczni, gdyż brakło sił, aby na nich uderzyć".

„Opór stawiany przez Żydów i bandytów, mógł być przełamany jedynie przez energiczne i niezmordowane natarcie oddziałów szturmowych w akcji dziennej i nocnej. W dniu 23 kwietnia 1943 r. nadszedł rozkaz od reichsführera SS, za pośrednictwem wyższego dowódcy SS i policji „Wschód" w Krakowie, — bojowego przełamania getta w Warszawie z największym zaparciem się i bezwzględną wytrzymałością. Wobec tego postanowiłem przeprowadzić totalne zniszczenie dzielnicy żydowskiej przez spalenie wszystkich bloków mieszkalnych, łącznie z blokami mieszkalnymi znajdującymi się przy przedsiębiorstwach zbrojeniowych".



Getto warszawskie od strony ul. Bonifraterskiej.

„Przeprowadzono systematyczną likwidację jednego przedsiębiorstwa po drugim, z jednoczesnym niszczeniem ich przy pomocy ognia. W większości wypadków Żydzi wychodzili wówczas ze swych kryjówek i bunkrów. Nie należało do wyjątków, że Żydzi zatrzymywali się w płonących domach, dopóki żar i strach przed śmiercią w płomieniach nie zmuszały ich do wyjścia. Wyrzucali wówczas z okien płonących domów materace i miękkie obicia, poczem sami wyskakiwali. Z połamanymi kośćmi próbowali jeszcze przebiec przez ulicę, by wczołgać się do domów, które nie były jeszcze objęte przez pożar, lub tylko częściowo stały w płomieniach. Częstokroć Żydzi pozostawali przez całą noc w swoich kryjówkach poczem przenosili się w ruiny już spalonych domów i tam długo chronili się, póki nie byli wykryci przez poszczególne oddziały szturmowe".

„Już po ośmiu dniach nie było żadną tajemnicą, że Żydzi ukrywają się w kanałach. Wielokroć można było usłyszeć na ulicach poprzez otwory kanałów dość wyraźne głosy. Odważnie (!) zakradali się żołnierze SS, policjanci czy saperzy wehrmachtu do kanałów, aby wyszukiwać tam Żydów, przy czym niejednokrotnie potykali się o rannych Żydów. Za każdym razem użyć musiano sztucznej mgły, by wypędzić Żydów z kanałów. Tak, jednego dnia otwarto 183 wejścia do kanałów i przez użycie sztucznej mgły, co wywołało wśród bandytów wrażenie gazu, zmuszono Żydów do wycofania się do centrum dzielnicy żydowskiej, skąd można już było ich wyciągać. Niezliczona ilość Żydów została zlikwidowana przez wysadzenie w powietrze kanałów i bunkrów". „Im dłużej trwał opór, tym zacięciej stawali się nasi żołnierze SS, policji i wojska, którzy niestrudzenie i w tym wypadku spełniali swoje zadania, związani braterstwem broni. Walczyli oni wręcz bezprzykładnie i zdumiewająco. Częstokroć od samego rana rozpoczynało się natarcie, a kończyło się w późnych godzinach nocnych. Żołnierze nocnych oddziałów wypadowych z owiniętymi w szmaty nogami tropili Żydów i trzymali ich w ciągłym naprężeniu. Nierzadkie były wypadki, że likwidowano Żydów, którzy korzystali z nocy, ażeby z opuszczonych bunkrów wysiągnąć żywność, lub nawiązać łączność z sąsiednimi grupami bojowymi, czy też wymienić między sobą wiadomości".

Walki uliczne w getcie warszawskim.



„Należy także podkreślić, że i saperzy wehrmachtu spełniali z zapałem swoje zadanie przez wysadzenie w powietrze bunkrów, kanałów i betonowych bloków mieszkalnych. Oficerowie i szeregowi policji, którzy w dużej mierze posiadali już doświadczenie frontowe, wykazali ponownie bezprzykładny duch bojowy". Tylko dzięki bezustannemu i niestrudzonemu udziałowi wszystkich sił wspólnie, udało się ująć wzgl. zniszczyć ogółem 56.065 Żydów. Do liczby tej należy dodać jeszcze tych Żydów, którzy zginęli w płomieniach palących się, lub wysadzonych w powietrze domów. Tej liczby nie udało się ustalić".

„Ta wielka akcja zakończona została dnia 16. V. 1943 r. o godz. 20.15 przez wysadzenie w powietrze synagogi warszawskiej".

„Odtąd nie ma w byłej żydowskiej dzielnicy żadnego przedsiębiorstwa. Wszelkie rzeczy wartościowe, surowce i maszyny zostały wywiezione i zabezpieczone. Wszystko co pozostało, a więc budynki i inne nieruchomości zostały zniszczone. Jedynie wyłączone zostało z akcji zniszczenia więzienie policji bezpieczeństwa na ul. Dzielnej".

Kronika kulturalna

ŻE PODCZAS wojny „Krzyżacy" Sienkiewicza rozeszli się po świecie anglosaskim w setkach tysięcy egzemplarzy — nic dziwnego: w krzyżactwie i hitleryźmie można się doszukać wielu analogii historycznych. Ale dlaczego „Czytelnik" wydał po wojnie „Krzyżaków" w Polsce? Oto Kazimierz Wyka w ostatnim zeszycie „Twórczości" (Nr. 6, str. 84—106), która jest również wydawnictwem „Czytelnika", poddaje raz jeszcze rewizji „Sprawę Sienkiewicza" i — jeśli chodzi o „Krzyżaków" — przytacza dawną opinię St. Brzozowskiego: „Ilekroć (Sienkiewicz) dotknie się historii, tworzy karykaturę, mimowolną i upokarzającą parodię. Parodią jest jego chrześcijaństwo w **Quo Vadis**, parodią **„Krzyżacy"**... Gdyby rozprawa Wyki z Sienkiewiczem ukazała się była przed wydaniem „Krzyżaków", zachodziłaby obawa, że nikt ich, po tak druzgocącym osądzie, nie kupi. Ale skoro nakład rozszedł się, można przypomnieć, że „Krzyżący" są karykaturą i parodią. I wilk syty, i koza cała.

●

SEWERYN WŁODARSKI w „Tygodniku Powszechnym" (Nr. 29/70 z dn. 21 lipca r.b.) zwraca słuszną uwagę na to, że szereg zagadnień z naszej najbliższej przyszłości czeka na wyjaśnienia historyków. Jak np. było w rzeczywistości z propozycją zapobiegawczej wojny przeciw Niemcom, uczynioną przez Polskę Francji w r. 1933? Jak było z ponowieniem tej propozycji w r. 1936 w okresie remilitaryzacji Nadrenii? Jak się przedstawiała w rzeczywistości sprawa odrzucenia przez Polskę w r. 1939 niemieckiej propozycji wspólnego marszu przeciw ZSRR? „Czekamy na publikacje, wyjaśniające naszą rolę w świecie" — pisze Włodarski: — możemy bowiem wskazać nie tylko na Wrzesień, ale i na pozytywne momenty. I podkreślając w dalszym ciągu, że Francja np. przystąpiła zaraz po wojnie do tego rodzaju publikacji historycznych, Włodarski zwraca się z apelem do wydawców polskich, ażeby rozpoczęli „poważnie pomyślane wydawanie materiałów, odnoszących się do najświeższego okresu naszych dziejów". Będzie to—zachęca — wielka zasługa dla kultury polskiej i doskonały interes finansowy.

●

PAŃSTWOWE Zakłady Wydawnictw Szkolnych przygotowują do druku wybór tekstów z „Pamiętników Chłopów". Opracowaniem wyboru zajęła się Maria Dąbrowska i napisała do niego „Przedmowę", którą ogłosił właśnie „Przekrój" (Nr 67). W „Przedmowie" czytamy między innymi: „W latach 1934—1939 Polska dokonała w dziedzinie piśmiennictwa wiekopomnego dzieła. Było nim wydanie olbrzymiego materiału życiorysów i pamiętników ludu pracującego w postaci **Pamiętników Bezrobotnych, Pamiętników Chłopów, Pamiętników Emigrantów** i pamiętników młodzieży wiejskiej w czterotomowym dziele **MŁODE POKOLENIE CHŁOPÓW**... Żaden kraj nie posiadał w owym czasie tak obszernej a zarazem tak oszałamiająco ciekawej autentycznej literatury świata pracującego. To też wydawnictwa te zwróciły uwagę innych krajów, jako dzieło w swoim rodzaju epokowe i jedyne. „Jak widzimy, na szczęście nie byliśmy przed wojną tylko „faszystami".

St. Łatka

Wiadomości z Polski i ze świata

Proces w Norymberdze dobiega końca. Widocznie czynniki decydujące doszły do porozumienia co do losu przestepców wojennych i wyrok zapadnie prawdopodobnie w sierpniu b. r.

●

Podziału Palestyny na cztery strefy projektuje brytyjski minister Kolonii: 1) część wschodnia — arabska, 2) nad Morzem Śródziemnym — żydowska; 3) trójkąt południowy z miastem Ghaza — pod mandatem brytyjskim i 4) trójkąt w centrum z Jerozolimą. Nazaretem i Jaffą — pod kontrolą międzynarodową. Z oświadczenia min. Byrnesa wynika, że plan ten zostanie przyjęty przez rząd amerykański.

Najbliższa przyszłość pokaże, czy „kocioł palestyński" zostanie w ten sposób rozładowany.

●

Pomoc UNRRA dla Europy będzie prawdopodobnie zlikwidowana z końcem r. b., z takim wnioskiem występuje Anglia na posiedzeniu Rady UNRRA, które odbedzie się 5 sierpnia w Genewie. Anglia uważa, że za dużo już pomagała wyniszczonej Europie, a wprowadzenie kartek na chleb w Anglii na okres 2 — 3 miesiecy miało upozorować ciężką sytuację żywnościową samej Anglii, która nie jest w stanie ponosić, przypadających na nią, części kosztów utrzymania akcji UNRRA.

Niewątpliwie egoizm angielski wpłynie na decyzję Rady UNRRA, wbrew opinii dyrektora generalnego UNRR-y La Guardii, który domaga się przedłużenia akcji pomocy poza wyznaczony temin. Według ostatnich wiadomości ministerstwo spraw zagranicznych U. S. A. skłania się również do wniosku angielskiego.

●

Termin wyborów w Polsce zostanie ustalony na plenum posiedzenia Krajowej Rady Narodowej, które odbędzie się w końcu sierpnia b. r. Jak wynika z wypowiedzi niektórych członków Rządu, powszechne wybory rozpisane zostaną na m. listopad b. r., a więc za parę tygodni rozpocznie się kampania przedwyborcza.

Dookoła jedności. Artykuł premiera E. Osóbki - Morawskiego, jaki ukazał się na łamach prasy socjalistycznej w początkach tygodnia, jest szeroko komentowany. Artykuł nosi tytuł: „Kto podniesie sztandar jedności Narodu?", a nutą jego jest, że aby „osiągnąć sukces na odcinku jedności narodu, trzeba dwóch podstawowych rzeczy: trzeba tego serdecznie **chcieć** i trzeba to **umieć** robić".

„Chcieć" nie budzi wątpliwości. Jedności chce cały naród, mówią o niej wszystkie partie polityczne. Jeśli tej jedności nie ma, jeśli jesteśmy ciągle w atmosferze ostrej walki politycznej, to znaczy, że dotychczas nie umieliśmy wytworzyć pożądanej jedności.

Artykuł premiera wskazuje że:

1. nie umieliśmy podejść do omawianego zagadnienia,
2. brak nam pełnego zrozumienia potrzeby zjednoczenia,
3. nie okazujemy ukochania własnego narodu z jego cnotami i błędami,
4. brak nam cierpliwości i tolerancji,
5. brak nam rzeczowości,
6. brak poczucia odpowiedzialności za rzucane słowa.

Premier zapowiedział, że P. P. S. podejmuje szczerze i gorąco pracę dla tej sprawy. „Jeśli zabierzemy się do urzeczywistnienia tego hasła wszyscy — zakończył premier swój artykuł — z wiarą w słuszność sprawy, z mozolną cierpliwością i wytrwałością — myślę, że potrafimy zjednoczyć koło tego sztandaru szersze, niż tylko nasze własne szeregi i pchnąć sprawę na realne, własne tory".

Przedmiotem dyskusji są obecnie drogi, którymi dojść można najpewniej do omawianej przez premiera jedności. Pojawia się wówczas nazwisko wicepremiera Mikołajczyka. I zjawia się pytanie: z nim czy bez niego?

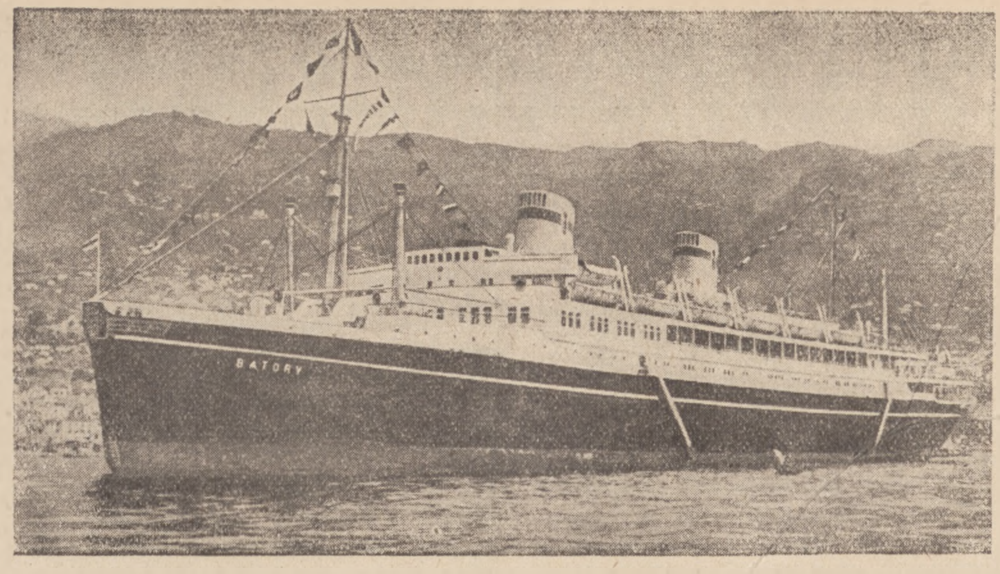
Jedność powinna skupić wszystkich i pogodzić wszystkich. Jak? To chyba wchodzi w zakres sztuki kompromisu.

●

Czeska wizyta w Moskwie budziła w nas nie tylko zwykłą „słowiańską" ciekawość. Pobyt w stolicy ZSRR premiera Czechosłowacji, Gottwalda i ministra spraw zagranicznych, Masaryka na czele licznej delegacji, wywołał w Polsce domysły, czy Czesi nie zamierzają przenieść swego sporu z nami na szerszą arenę. Komunikat, jaki się ukazał podaje, że omawiano sprawy: 1) węgierskie, 2) współpracy wojskowej, 3) fabryk poniemieckich, założonych na terytorium Czechosłowacji w czasie wojny, 4) układu handlowego i lotniczego.

Komunikat zredagowany został w sposób lakoniczny, ograniczający się do minimum niezbędnych słów.

Domysły zatem nie znalazły żadnego potwierdzenia. Sprawa porozumienia polsko-czeskiego trwa nadal na martwym punkcie, spodziewamy się jednak nadal, że do niego dojdzie, bo obecny stan rzeczy utrzymać się nie da. Rozumiemy to oddawna, a wydaje się, że zrozumienie to szerzy się w Czechosłowacji.



POŻAR NA M. S. „BATORY"

W dniu 26 lipca b. r. na okręcie polskim „Batory", znajdującym się w remoncie na stoczni w Antwerpii, wybuchł wielki pożar, który, dzięki energicznej akcji załogi, ugaszono po 4-ch godzinach.

Straty okazały się poważne, toteż projektowany przyjazd „Batorego" do Gdyni na dzień 18 września b. r. ulegnie paromiesięcznej zwłoce. „Batory" miał nieodwołalnie 24 września b. r. rozpocząć swoje rejsy pasażerskie między Gdynią a New Jorkiem.

Na pierwszy rejs już wszystkie bilety zostały sprzedane, amatorzy jazdy na naszym motorowcu muszą z konieczności szukać miejsca na innych okrętach.

Wiadomości sportowe

Reprezentacja robotnicza Polski odniosła w Szwajcarii piękne sukcesy, zwyciężając w Bazylei 3:2, a w Zurychu 4:3. Bohaterem obu meczów był bramkarz Czarski.

Liga Piłkarska w Polsce zostanie reaktywowana w dniu 10 sierpnia b. r. w Krakowie. Na zebranie organizacyjne otrzymały zaproszenie następujące kluby: W.K.S. Legia i Polonia (Warszawa), Ł. K. S. i Z. Z. K. (Łódź), Warta i K.K.S. (Poznań); Cracovia, Wisła i Garbarnia (Kraków), Amatorski Klub Sportowy (Chorzów), Ruch (Wielkie Hajduki) i Polonia (Bytom).

Piłkarska drużyna „Torpedo" (Moskwa) przybędzie za kilka dni do Polski celem rozegranie kilku meczów.

„Torpedo" odwiedzi prawdopodobnie Warszawę, Łódź, Kraków i Śląsk.

Mistrzostwa lekkoatletyczne Europy w Oslo odbędą się w dniach 15 — 18 sierpnia b r. Pocieszające jest, że wyniki naszych lekkoatletów ulegają stałej poprawie dzięki zorganizowaniu obozu treningowego. Skład reprezentacji Polski zostanie ustalony po zawodach eliminacyjnych, które odbędą się w dniach 10 i 11 sierpnia w Warszawie.

Mistrzostwa kolarskie Europy odbędą się 24 września w Zurichu. Polski Związek Kolarski postanowił zgłosić reprezentację Polski. Na torze startować będą: krakowianin Kupczak i łodzianin Bek, a na szosie stanie doborowa czwórka: Kluj, Rzeźnicki, Wójcik i Gabrych. Ekspedycje poprowadzi Gołębiowski z Warszawy.

KONFERENCJA POKOJOWA W PARYŻU

Konferencja Pokojowa, która rozpoczęła się w Paryżu 29 lipca b. r. odbywa się bez ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii — p. Bevina. Jego choroba na parę godzin przed wyjazdem do Paryża stała się sensacją polityczną, z której wyciąga się dalеko idące wnioski. Nie jest tajemnicą, że działalność Bevina jako kierownika polityki zagranicznej brytyjskiego imperium wywołuje wiele sprzeciwów w łonie Partii Pracy. Krytykowano w sposób bardzo ostry jego powolność wobec przestarzałych i niewłaściwych w dzisiejszej dobie nałogów brytyjskiego M. S. Z., zapełnionego tradycjonistami. Konserwatyści odeszli od rządów, ale konserwatyzm pozostał w murach urzędów. Czy choroba p. Bevina oznacza zmianę kursu? W tej chwili trudno odpowiedzieć w sposób jasny. Należy sądzić, że ta zmiana zarysowuje się w sposób nieunikniony. Trzeźwa ocena ludzi przebywających w samym ognisku spraw międzynarodowych wskazuje, że wbrew pozorom wyrównanie różnic między Z. S. R. R. a Wielką Brytanią jest bliższe, niż ułożenie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Wielka Brytania jest na drodze do poważnych zmian, Stany zaś hamowane są przez tendencje imperialistyczno-kapitalistyczne.

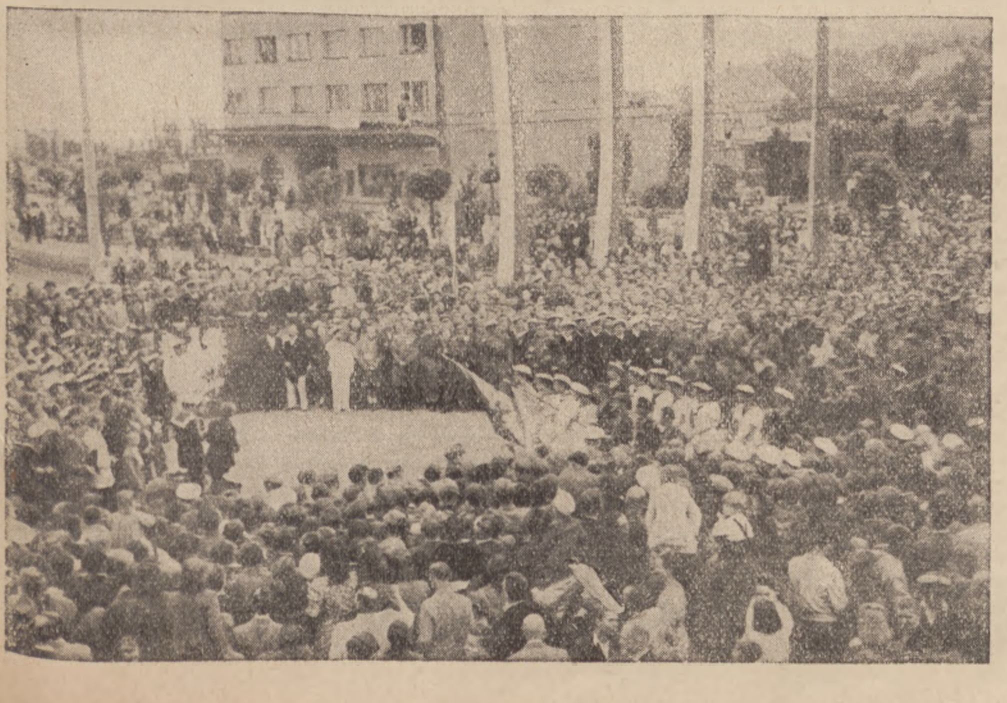
Przebieg Konferencji Paryskiej prawdopodobnie zarysuje wyraźniej przedstawiony stan rzeczy.

Polska śledzić będzie z wielką uwagą i czujnością przebieg konferencji, która ma zadecydować ostatecznie o naszej granicy z Niemcami. Niemniejszą wagę do wyników konferencji przywiązuje Francja, której premier i min. spraw zagr. Bidault oświadczył, że jedynie ustalenie granic Niemiec na Odrze i Renie zapewni Europie pokój. Błędy Wersalu nie mogą się powtórzyć. Nasze postulaty znajdują poparcie delegacji radzieckiej, francuskiej i amerykańskiej. Również min. Bevin na kilka dni przed otwarciem konferencji oświadczył, że Anglia aprobuje granice Polski na Nissie i Odrze, na którą „z konieczności" wyraziła swoją zgodę w Poczdamie.

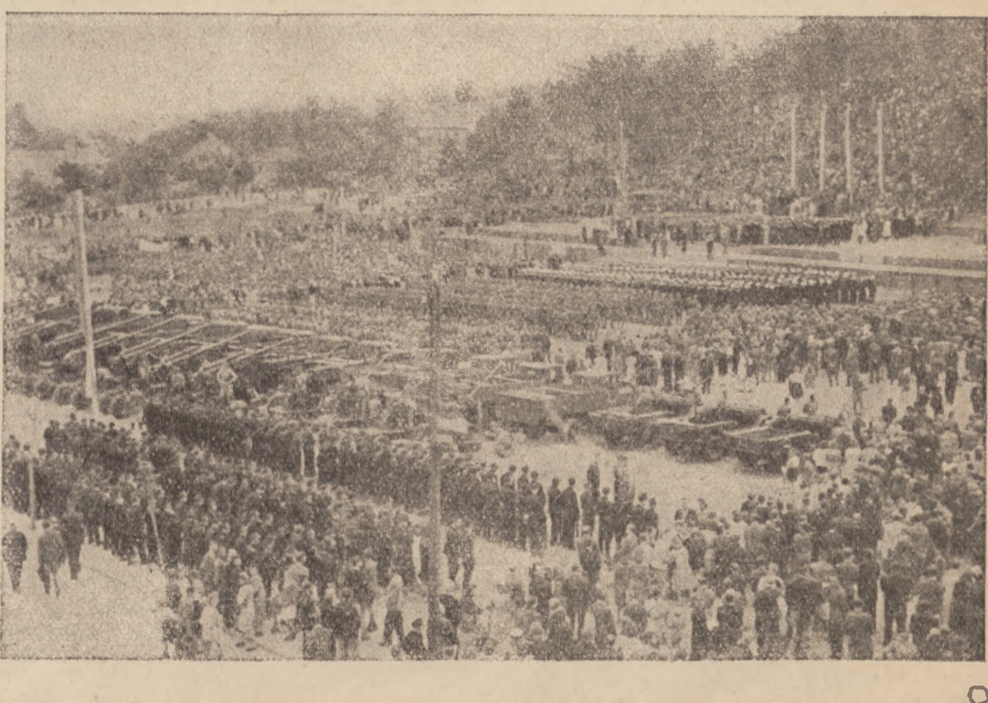
W następnym numerze zamieścimy na temat Konferencji Pokojowej artykuł jednego z najwybitniejszych znawców prawa międzynarodowego.

ZE ŚWIĘTA MORZA W GDYNI

Defilada przy Skwerze Kościuszki



Msza polowa na Placu Grunwaldzkim





Jan Kasprowicz

20-LECIE ŚMIERCI

Jan Kasprowicz, największy poeta polski ostatniego pięćdziesięciolecia. Urodzony 12 grudnia 1860 r. na Kujawach, zmarł 1 sierpnia r. 1926 w Poroninie na „Harendzie". Genialną prostotą wyrazu poetyckiego, głębią refleksyjno-filozoficzną i nastrojem moralno-religijnym odznaczają się zwłaszcza dwa jego ostatnie cykle liryczne: „Księga ubogich" (r. 1916), znakomicie przełożona na język rosyjski przez Konstantina Balmonta, oraz „Mój świat" (r. 1926).

Rzadko na wargach moich —
Niech dziś to warga ma wyzna —
Jawi się, krwią przepojony,
Najdroższy wyraz: ojczyzna.
Widziałem, jak się po rynkach
Gromadzą kupczykowie,
Licytujący się wzajem,
Kto ją najgłośniej wypowie.
Widziałem, jak pośród ludzi
Ten się urządza najtaniej,
Ten poklask zdobywa i resztę,
Kto krzyczy, że żyje dla niej...

(z „Księgi ubogich")

Nowa Warszawianka

I znów w Warszawie hasło „do broni!"
Wołaniem bije o ulic mur,
W gorących sercach krew drga i dzwoni,
A karabiny podają wtór.

Choć pod pożaru falą
Twe gmachy się powalą,
Choć klęska nieba zszarzeje skłon —
Zdobna krwią i sławą,
Świecisz nam, Warszawo,
Przyszłego żniwa zwiastując plon.

Patrz, śmiali chłopcy, jasne dziewczęta
Pochodnie wznieśli dymiących luf,
Pierwszy niewoli połamał pęta
Grzmiąca Stolico, Twych dzieci huf!

Choć w boju ponad siły
Gruz, popiół i mogiły —
To dni minionych żałobny schron —
Zdobna krwią i sławą
Świecisz nam, Warszawo,
Rzeczypospolitej serce i dzwon.

Przez dni sześćdziesiąt — ojców zwyczajem —
Siekł syn Stolicy zaborców dzicz,
Przez dni sześćdziesiąt gorzał nad krajem
Wolnej Warszawy płonący znicz.

Choć padły w gruz i popioły
Pałace i kościoły,
Choć rozproszona Twych dzieci brać —
Zdobna krwią i sławą
Zawsześ Ty, Warszawo,
Godna STOLICĄ dumnie się zwać.

PPOR. ANDRZEJ SIECZKOWSKI
uczestnik
powstania warszawskiego

ANTONI CZECHOW

W OSIEMDZIESIĄTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ URODZIN

Literacka Rosja obchodzi w roku bieżącym 85-tą rocznicę urodzin Antoniego Czechowa (1861—1904), jednego z największych swych nowelistów, satyryków i humorystów.

Syn chłopa, Czechow, podobnie jak nasz Boy-Żeleński, był ze studiów lekarzem, lecz zawodu swego nie wykonywał, oddając się całkowicie literaturze; natomiast studia te wywarły zasadniczy wpływ na kierunek jego twórczości: jak słusznie zauważa Al. Brückner, Czechow „wobec niedyskretnej fizjologii pozbył się wszelkich iluzyj romantycznych".

Czechow jest mistrzem krótkiej, niezwykle plastycznej w swej zwięzłości noweli, której bohaterzy brani są z codziennego szarego życia: sfery mieszczańskie, kupcy, rzemieślnicy, urzędnicy, lekarze, drobni obywatele ziemscy, aktorzy i chłopi — oto bohaterowie Czechowa. Stosunek autora do swych bohaterów jest najczęściej pesymistyczny (z wyjątkiem dzieci), i przechodzi niekiedy w gorzką ironię. Wszelako niepozbawiony on jest nigdy współczucia do ludzi; ich małość i nędze moralną Czechow rozumie, zwłaszcza na tle ówczesnej rzeczywistości rosyjskiej t.j. posępnych czasów Aleksandra III, bohaterem bowiem Czechowa jest zawsze typowy Rosjanin, którego duszę przeniknął Czechow głęboko jak Dostojewski. Natomiast nie jest zdolny do zrozumienia charakteru cudzoziemca, i jeśli niekiedy w utworach swych okazuje przelotnie jego postać (jakiś Polak, Żyd, guwernantka Angielka, pastor ewangelicki, Anglik-bankier w noweli p. t. „Na morzu"), czyni to zawsze karykaturalnie i nawet odrażająco, z właściwą ówczesnemu Rosjaninowi niechęcią do „zgniłego Zachodu".

Zasługa literacka Czechowa, jak określa Brückner, polegała na tym, że stworzył on „olbrzymią mozaikę z drobnych i najdrobniejszych kamyczków całego życia rosyjskiego", i — acz pesymista — stał się tym sposobem rzecznikiem swego społeczeństwa, które wysoce ceniło jego wielki trud literacki. Ponadto wytworzył Czechow swój własny styl pisarski i szczególny język, kształcony na potocznej mowie „szarych ludzi", których po prostu podsłuchiwał we wszystkich okolicznościach życia. Stąd niezwykły realizm jego nowelistyki.



Antoni Czechow

Nowelka „Syrena", której nowy przekład dajemy czytelnikowi polskiemu, zawiera, jak się zdaje, wszystkie pierwiastki twórczości Czechowa, zwłaszcza analizę owej „małości ludzkiej", dla której szczytem marzeń jest wyobrazić siebie jako „generalissimusa" albo posiadacza najpiękniejszej kobiety na świecie. Jednocześnie analiza ta odznacza się niezwykłą prawdą psychologiczną, w każdym z nas bowiem — w najpoważniejszym prezesie Sądu — może w pewnym momencie górować ponad wszystkim pragnienie gęsi pieczonej i kieliszka przepalanki. Styl noweli zawiera wszystkie znamiona stylu Czechowa okazuje nam jednocześnie, ile stylowi te mu zawdzięcza nasz Wiech.

SYRENA

Po zamknięciu sesji wyjazdowej sądu w N., sędziowie zgromadzili się w pokoju narad, żeby zdjąć swoje mundury, chwilkę odetchnąć i udać się na obiad. Przewodniczący sesji, okazały mężczyzna z puszystymi bokobrodami, który w ostatnio rozpatrywanej sprawie założył swoje „votum separatum", siedział przy biurku i pośpiesznie pisał. Dwóch sędziów już odeszło. Sędzia pokoju Miłkin, młody człowiek o melancholijnej twarzy, mający sławę filozofa, pokłóconego ze światem i szukającego celu w życiu, stał przy oknie i smutnie spoglądał na podwórze. Drugi sędzia — ociężały, z trudem dyszący tłuścioch, oraz wiceprokurator z obliczem śledziennika, siedzieli na kanapce, czekając dopóki prezes nie skończy swego pisania, ażeby razem pojechać na obiad. Przed nimi stał sekretarz sądu Żylin, malutki człowieczek z baczkami przy samych uszach i z wyrazem słodyczy na twarzy. Uśmiechnięty miodowo, patrząc na tłuściocha, mówił półgłosem:

— Wszystkim nam się chce jeść, bośmy się zmęczyli i dochodzi czwarta, ale, panie sędzio, to jeszcze nie jest prawdziwy apetyt. Prawdziwy, wilczy apetyt, że zdaje się ojca rodzonego byś zjadł, bywa tylko po pracy fizycznej. naprzykład po polowaniu z ogarami, albo kiedy się odwali bez wytchnienia setkę wiorst końmi rozstawnymi. Dużo także znaczy imaginacja. Jeżeli, przypuśćmy, wraca pan z polowania do domu i chce zjeść obiad z apetytem, nigdy nie trzeba myśleć o żadnych tam uczonościach; wszelka uczoność i mądrość tylko zabija apetyt. Sam pan wie, że filozof i uczony, co się tyczy jedzenia, to patałachy, i nawet świnie, za przeproszeniem, jedzą lepiej od nich. Jadąc do domu, trzeba się starać żeby głowa myślała tylko o karafeczce i przekąseczce. Kiedym raz w drodze zamknął oczy i wyobraził sobie prosiaczka z chrzanem, dostałem histerii od apetytu. No, a kiedy pan zajeżdżasz już do siebie przed dom, trzeba, żeby w tym samym momencie z kuchni pachniało czymś takim, wie pan sędzia...

— Gęś pieczona pachnie po amatorsku — powiedział tłuścioch, dysząc ciężko.

— Szkoda gadać, panie sędzio. Kaczka albo też bekas może dać gęsi dziesięć for. Gęś nie posiada tej delikatności. Najbardziej porywająco pachnie młoda cebulka, kiedy się dopiero zaczyna przysmażać i, rozumie pan, skwierczy łajdaczka na cały dom. No, a kiedy wchodzi pan do jadalni, stół powinien już być nakryty; siadasz więc pan, natychmiast serwetkę za kołnierzyk, i bez pośpiechu sięgasz pan po karafeczkę. Ale tę żywicielkę nalewasz pan nie do kieliszka, lecz w jakiś przedpotopowy kubeczek srebrny, albo w taki jakiś pyzaty z napisem: „Dał ci Bóg dary, używaj miary", i wychylasz pan nie odrazu, lecz naprzód westchniesz, ręce pan zatrzesz, obojętnie na sufit spojrzysz, potem powoli zbliżysz ją — wódeczność znaczy się — do ust i — natychmiast z żołądka po całym ciele iskry...

Na twarzy sekretarza rozlała się błogość.

— Iskry — powtórzył, przymrużając powieki: — Gdy się wypiło, niezwłocznie należy przekąsić.

— Panie sekretarzu, — powiedział przewodniczący, wznosząc wzrok: — Trochę ciszej. Przez pana drugi arkusz marnuję.

— Przepraszam, panie prezesie, najmocniej przepraszam. Będę cichutko — odpowiedział sekretarz i ciągnął półszeptem: — No, a co dotyczy przekąski, panie sędzio, należy postępować umiejętnie. Trzeba wiedzieć, jak przegryźć. Najlepsza przekąska, za pozwoleniem pańskim, to śledź. Zjadłeś pan dzwonko z cebulką i w sosie musztardowym, i zaraz, dobrodzieju mój, dopóki czujesz jeszcze w brzuszku iskry, spożywaj kawior sam w sobie, albo — jeśli wola — z cytrynką, następnie zwykłą rzodkiewkę z solą, potem znowu śledzika, lecz najbardziej wskazane, dobrodzieju mój, są rydzyki solone, gdy się je drobno posieka, jak kawior, i — rozumie pan — z cebulką, z oliwą... delicje! Ale na ten przykład miętus, to tragedia!

— Mm... tak — przytaknął tłuścioch, mrużąc oczy: — Na przekąskę dobre są także... tego... grzybki w śmietanie, duszone.

— O to, to... z cebulką, wie pan, z liściem bobkowym, z wszelakimi przyprawkami. Podnosisz pan pokrywkę z rondelka, a z niego para, duch grzybowy... Niekiedy nawet łzę wyciska. No, a jak tylko przytaszczyli z kuchni kulebiakę, w tej samej chwili nie zwlekając, na drugą nogę.

— Panie sekretarzu — powiedział głosem płaczliwym prezes: — przez pana trzeci arkusz psuję.

— Cóż to za człowiek — odezwał się pogardliwie filozof Miłkin: — tylko o jedzeniu myśli. Czyżby oprócz grzybów i kulebiaki, nie było żadnych innych zainteresowań w życiu?

— Tak więc, przed kulebiaką trzeba wypić — ciągnął sekretarz półgłosem, do tego stopnia pochłonięty imaginacją, że nikogo prócz siebie nie słyszał: — Kulebiaka powinna być apetyczna, bezwstydna w całej swojej nagości, żeby było zgorszenie. Zrobisz pan do niej oko i palcami nad nią poruszasz, oto tak — z nadmiaru uczucia...

— Ależ to... Diabli wiedzą, co to takiego — wymamrotał Miłkin, przechodząc do drugiego okna.

— Zjadłeś pan dwa kawały — ciągnął sekretarz w natchnieniu: — a tu już podają zupę. Powinna być gorąca, ognista. Najlepszy jest, dobrodzieju mój, barszczyk ukraiński, z szyneczką i parówkami. Konieczna do niego śmietana i świeżutki koperek...

— Wyborna rzecz — westchnął prezes, lecz połapawszy się natychmiast, jęknął: — Jezus, Maria! Czwarty arkusz. Do wieczora nie skończę.

— Już nie będę, nie będę! Przepraszam... Po barszczu odrazu, dobrodzieju mój, rybka. Spośród tych stworzeń, co głosu nie mają, najlepszy jest karaś smażony w śmietanie, zwłaszcza, jeśli się przedtem żywcem wymoczy w mleku całą dobę.

— A sanadacz? Co pan myśli o sandaczu? — powiedział tłuścioch, przymykając oczy, lecz nagle, ku zdumieniu wszystkich, zerwał się z kanapy i zaryczał: — Kończy pan, panie prezesie, czy nie? Już dłużej nie mogę.

Machnął ręką, chwycił czapkę i nie żegnając się z nikim, wybiegł z pokoju. Sekretarz westnął, nachylił się do ucha wiceprokuratora i ciągnął szeptem:

— Sandacz jest dobry owszem. Karp również w szarym sosie. Ale rybą się człowiek nie naje, panie prokuratorze. To nie jest potrawa istotna. Przy obiedzie rzecz najważniejsza — pieczyste. Jakiego ptaka pan najwięcej ubóstwia?

Wiceprokurator zrobił kwaśną minę.

— Niestety, nie mogę panu współczuć: mam katar żołądka.

— Furda, dobrodzieju mój. Lekarze go wymyślili. Poniekąd z nadmiaru wolnomyślności i wygórowanych ambicji przytrafia się ta choroba. Niech pan nie zwraca uwagi. Powiedzmy, że pana nawet mdli, a pan niech je. Co by pan powiedział na kuropatwę? W kąt wszelki katar, słowo uczciwości. Albo indyczka? Biała, tłusta, soczysta taka, wie pan, w rodzaju nimfy...

— Przypuszczam, że musi być smaczna — powiedział prokurator ze smutnym uśmiechem: — Kto wie, możebym zjadł.

— Chryste Panie, a kaczka? Trzeba ją upiec razem z kartofelkami, a kartofelki muszą być drobno pokrajane, i muszą przyrumienić się, i nasiąknąć tłuszczem od kaczki...

Filozof Małkin chciał coś zaprotestować w sprawie kaczki, lecz nagle cmoknął wargami, nie rzekł ani słowa, chwycił czapkę i, pociągnięty niezbadaną siłą, wybiegł z pokoju.

— Myślę, że zjadłbym kaczkę — westchnął wiceprokurator.

Prezes powstał od biurka, przeszedł się po pokoju i znowu usiadł.

— Po pieczystem człowiek jest nasycony i popada w słodkie zaćmienie. Ciału jest przyjemnie, na duszy rzewnie. Żeby zwiększyć rozkosz, należy wypić dwa, trzy kieliszki przepalanki.

— Szósty arkusz! — ryknął prezes: — Boga się pan nie boisz!

— Powiadam panu, różne bywają alkohole, ale domowa przepalanka lepsza od szampana. Już po pierwszym kieliszku odczuwa pan miraż, i zdaje się panu, żeś nie u siebie w domu, lecz gdzieś w Australii, na jakimś najbardziej miękkuchnym strusiu...

— Chodźmy, prezesie! — zawołał prokurator, drygając niecierpliwie nogą.

— Tak jest. Przy przepalance dobrze zakurzyć cygarko i puszczać kółka. Marzenia ogarniają wówczas człowieka. Roi się mu, że jest generalissimus, albo się ożenił z najpiękniejszą kobietą świata, że ta piękność pływa dniami przed jego oknem w takim basenie ze złotymi rybkami. Pływa, a pan do niej: duszko, chodź, pocałuj mnie.

— Prezesie!— wyjęczał prokurator.

— Tak jest — ciągnął dalej sekretarz: — Wypalisz, człowieku, cygarko, a potem unosisz poły szlafroczka i do łóżeczka. Kłaść się pan musisz nawznak, brzuszkiem do góry, a w rączki bierzesz gazetkę. Kiedy się oczki kleją, a w całym ciele drzemka już czeka, przyjemnie poczytać o polityce. Patrzysz — tu Austria coś sknociła, tam Francja kawały odwala, a tam papież okoniem stanął: czytasz i masz zadowolenie.

Prezes skoczył, cisnął pióro i obydwiema rękami zgarnął czapkę. Wiceprokurator, zapominając o katarze żołądka, zrobił to samo.

— Jazda — zawołał.

— Panie prezesie, a co z votum separatum? — przestraszył się sekretarz.

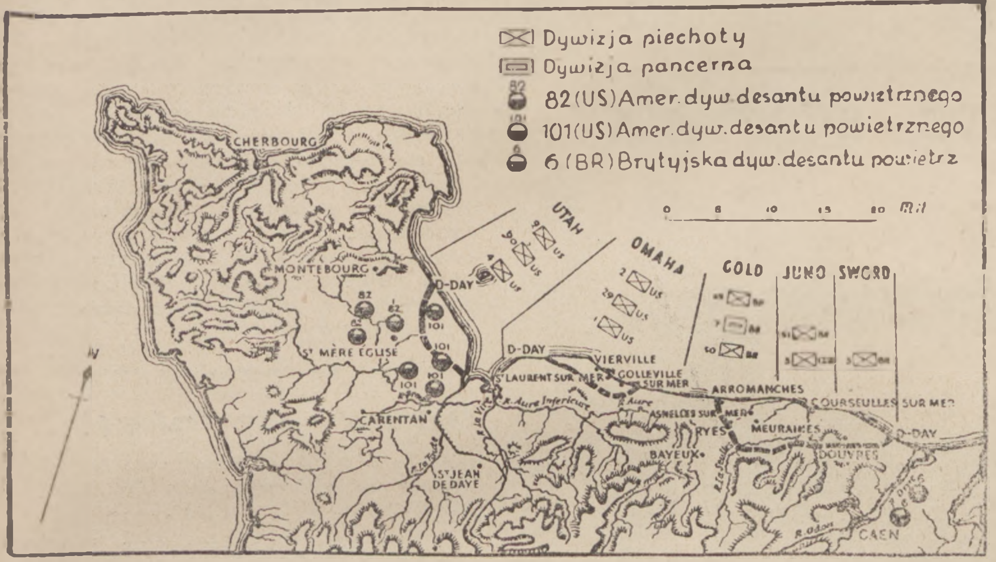
Prezes machnął ręką i trzasnął drzwiami. Wiceprokurator zrobił to samo. Sekretarz z wyrzutem spojrzał w ślad za nimi, westchnął i począł porządkować papiery.

Antoni Czechow

EISENHOWER O WOJNIE

Ukazał się niedawno pierwszy obszerny dokument, omawiający działania wojenne na Zachodzie Europy. Jest nim raport generała Dwight D. Eisenhowera opublikowany jednocześnie w Nowym Yorku i Londynie. Jest to relacja człowieka, który poniósł odpowiedzialność operacji wojennych na Zachodzie Europy, od chwili rozpoczęcia inwazji do kapitulacji Niemiec.

W delikatnej, pełnej wstrzemięźliwości formie, raport ujawnia nam źródła pogłosek, które pasjonowały nas miesiącami. Gorączkowaliśmy się np. w pierwszych miesiącach 1944 roku uporczywymi pogłoskami o przystąpieniu Turcji do wojny, o zamierzonej zbrojnej akcji angielskiej w Grecji i na Bałkanach. Nie były to zupełnie bezpodstawne plotki. Przeciwnie. Eisenhower zdradza nam, że było w nich więcej, niż celowa propaganda dla dezorientacji przeciwnika. Plan taki istniał i był tworem brytyjskich sztabowców. Nie doszło do jego realizacji, gdyż przeważyła koncepcja amerykańska uderzenia w miejscu, gdzie odległość między bazami zaopatrzenia, a nowym frontem była najmniejsza, w punkcie możliwie najbliższym wysp brytyjskich. Wprawdzie nie ma o tym mowy, ale nie ulega wątpliwości, że w czasie omawiania zasadniczych planów strategicznych przez Wielką Trójkę, ujawniono również radziecki plan uderzenia bezpośredniego poprzez Ukrainę na Rumunię. W ten sposób efekt ewentualnego desantu na Bałkanach i wdarcia się na flankę niemiecką został osiągnięty przy użyciu metody bardziej bezpośredniej i bardziej celowej.



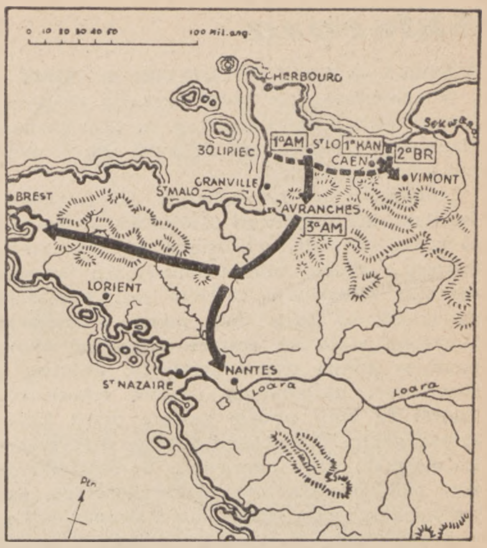
Uderzenie na Europę, czerwiec 1944 r.

Niezmiernie ciekawe są wywody Eisenhowera, świadczące o praktycznej realizacji tego założenia, o decyzjach pobieranych wbrew opinii sztabowców. Typowym przykładem takiego postępowania jest ustalenie daty inwazji na dzień 6 czerwca 1944 r. wbrew opinii znawców pogody, ponieważ Eisenhower chciał wysadzić na ląd nie 3 lecz 5 dywizji.

Niemcy mieli na Zachodzie dla obrony t.zw. Wału Atlantyckiego 60 dywizji. Tej sile alianci przeciwstawili w chwili lądowania jedynie 5 dywizji przetransportowanych drogą morską i trzy dywizje spadochroniarzy. Dalszych 10 dywizji miało wzmocnić pierwszy taran uderzeniowy. Ogółem siły sprzymierzonych, które Eisenhower miał rzucić do walki, sięgały liczby 37 dywizji: 23 piechoty, 10 pancernych i 4 spadochroniarskich. Tajemnica powodzenia przy nierówności sił leży nie tyle w taktycznym zaskoczeniu, ile w niesłychanie precyzyjnym przygotowaniu lotniczym i dezorientacji przeciwnika co do zamierzonych celów. W obydwu wypadkach istniały rozbieżności zdań. Połączone sztaby alianckie były przeciwne bombardowaniu obiektów wojskowych na terenie Francji, chcąc oszczędzić ludności francuskiej konsekwencji nalotów. Eisenhower tak dalece uważał to za nieodzowny czynnik zwycięstwa, że uzyskał podporządkowanie sobie t. zw. Strategicznych Sił Powietrznych. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa taktyczna. Czytelnicy niewątpliwie przypominają sobie trwające tygodniami bezowocne uderzenia dywizji brytyjskich i kanadyjskich pod Caen. Na ten temat istnieje jeszcze obecnie wielka rozbieżność zdań między Amerykanami i Anglikami, a raport Eisenhowera wywołał istną powódź artykułów właśnie na ten temat w prasie brytyjskiej. Trzeba pamiętać, że do dnia 1 września 1944 roku marszałek Montgomery był odpowiedzialny za koordynację działań wojsk brytyjskich i amerykańskich, i dopiero po tej dacie generał Eisenhower objął bezpośrednie dowództwo również nad kontyngentami angielskimi i kanadyjskimi. Wojska marszałka Montgomery nie przerwały się pod Caen. Jest jednak faktem, że Niemcy związali tu gros swoich sił, co ułatwiło Amerykanom przedarcie się w innym miejscu. Anglicy, czuli niezmiernie na dobrą sławę swych wojsk i dowódców, nie przeboleli historycznego rozwoju wypadków, a niektórzy autorowie uważają bitwę pod Caen za porażkę angielską. Eisenhower nie daje odpowiedzi na to pytanie. Jako lojalny dowódca całości składa hołd poległym żołnierzom brytyjskim i kanadyjskim.

Zresztą Amerykanom również nie wszystko się udało. Desant powietrzny na półwyspie Cotentin, w którym brały udział dwie amerykańskie dywizje spadochroniarzy, był rozproszony na obszarze 40 na 24 kilometry. Według wszelkich zasad matematyki jest to powierzchnia ponad 900 kilometrów kwadratowych. Z chwilą przedarcia się 3-ej armii amerykańskiej pod Avranches i odcięciu półwyspu normandskiego, działania rozwijały się już planowo, bez większych niespodzianek, od chwili sławetnej ostatniej ofenzywy Rundstedta w Ardennach. Może najciekawszym momentem z całej kampanii na Zachodzie jest fakt, że sforsowanie Renu pod Remagen, które zadecydowało o przełamaniu ostatniej niemieckiej linii oporu, było dziełem przypadku i osobistej gorliwości jednego z dowódców liniowych. Wykorzystanie tego nieprzewidzianego sukcesu jest niewątpliwie zasługą naczelnego dowódcy.

Może najbardziej wartościowym przyczynkiem dla historyka, będzie przyznanie się Eisenhowera do zasadniczego wojskowego sposobu myślenia. Dowódca amerykański wychodził z założenia, że celem kampanii jest zniszczenie sił przeciwnika, nie zaś takie czy inne korzyści terenowe i strategiczne. Dlatego też przykładał wielką wagę do koordynacji swoich posunięć z zasadniczymi planami Armii Czerwonej na Wschodzie. Jego zdaniem, dla eliminacji niemieckiego niebezpieczeństwa w powietrzu, które było znacznie większe niż przyznawano w oficjalnych publikacjach z czasów wojny, było zniszczenie baz surowcowych, pozwalających na produkcję syntetycznego paliwa. Pierwszym wielkim ciosem w energetykę niemiecką było zajęcie Zagłębia Śląskiego przez wojska sowieckie. Opanowanie Ruhry zniszczyło ją zupełnie.



Normandia — miejsce desantu wojsk amerykańskich, brytyjskich i kanadyjskich w czerwcu 1944 roku

Warto dziś, w przededniu Konferencji Pokojowej, życzyć całemu światu, by działania wszystkich mężów stanu były nadal przeniknięte tym samym dążeniem do wspólnego celu, jak w czasie wojny. Zwycięstwo nad Niemcami musi być utrwalone.

Władysław Pawlak

Napoleon chciał być oficerem rosyjskim

Wiadomość zgoła nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa. Potwierdzenie jej znajdujemy w wielu źródłach rosyjskich. W 1913 r. Paweł Szeremetiew wydrukował swą pracę o kampanii 1812 r. w piśmie „Lietopis istoriko-rodosławnawo obszczestwa“ w Moskwie, w której podał pewien epizod z życia Napoleona.

W 1789 roku Napoleon Bonaparte będący wówczas porucznikiem narodowej gwardii korsykańskiej, zwrócił się do przebywającego wówczas we Włoszech rosyjskiego generała Iwana Aleksandrowicza Zaborowskiego, dowodzącego armią rosyjską w czasie drugiej kampanii tureckiej, z prośbą o przyjęcie go do armii rosyjskiej w stopniu kapitana. Generał Zaborowski odmówił jego prośbie, gdyż według otrzymanych instrukcji, do armii rosyjskiej mogli być przyjmowani oficerowie innych narodowości, ale o stopień niżej od piastowanej rangi. Tymczasem Napoleon, wówczas jeszcze nikomu nieznany porucznik, prosił o przyjęcie o stopień wyżej t.j. kapitana. Podobno gen. Zaborowski miał się wyrazić w 1812 r. podczas wkroczenia Napoleona do Moskwy: „o jak boleśnie wspominać wypadki roku 1789, kiedy przyszły zwycięzca szukał sławy w szeregach naszych żołnierzy“. Podaje to „słownik“ Bantysza-Kamieńskiego oraz Iwanczyn Pisarew, wielki miłośnik starożytności.

Potwierdza to również wydawca „Russkiego Archiwu“ Paweł Iwanowicz Bartieniew. Ten ostatni podaje nawet, że Napoleon zwracał się również o przyjęcie do floty rosyjskiej do generała Tamary, dowodzącego flotą rosyjską na Morzu Śródziemnym. A. Fedor Wasiliewicz Rostopczyn w „Prawdzie o pożarze Moskwy“ tak o tym wspomina: „Bardzo często żałowałem, że gen. Tamara, któremu polecono w 1789 r. „podczas wojny tureckiej zorganizować flotę na Morzu Śródziemnym, nie przyjął propozycji Napoleona, pragnącego wstąpić do służby rosyjskiej, ale to, że jako porucznik gwardii korsykańskiej, żądał nadania mu rangi majora, stało się przyczyną odmowy. List jego pisany w tej sprawie, miałem niejednokrotnie w ręku...“

Nie wiemy jakie pobudki kierowały Napoleonem przy składaniu tych ofert, przypuszczać jednak należy, że powodowała nim niechęć do Francji, a ściślej mówiąc do rządów Ludwika XVI i tak jak wielu innych Korsykańczyków, którzy szukali możności wyżycia się w armii amerykańskiej, angielskiej, rosyjskiej i niemieckiej — tak i Napoleon szukał sławy w armii rosyjskiej.

Wybuch Rewolucji Francuskiej umożliwił mu wykazanie swego talentu i dojście do szczytu kariery.

Trudno dziś fantazjować na temat, co by było, a czego nie byłoby, gdyby Napoleon został przyjęty do służby rosyjskiej.

M. B.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Bajka o kurze i jajkach



Czy to bajka czy nie bajka —
Pewna kura zniosła jajka.
Że tak gorzki kury los chce,
Odebrano je kokosze.
Kura płacze, kura gdacze:
„Już kurcząt nie zobaczę!
Któż to widział! Co za światek!
Jajecznicę robić z dziatek!
Lub za przeproszeniem, pardon,
Ugotować je na twardo!“
Gdacze, płacze i zawodzi,
W łez powodzi kura chodzi.
Nieprzytomna z bólu prawie,
Szuka jajek na wystawie
Sklepu. Widzi: przepych jaki!
Stoją wina i koniaki,
A wśród serów i kawiorów,
Wśród owoców i ozorów
Leżą jajka. Z nich kurczęta
Już nie wyjdą. Roni łzę ta
Kura, bardzo zasmucona.
(Nad jajkami cena słona
Kupujących odstraszała,)
Widząc cenę, zagdakała
Kura, roniąc łzy kokosze:
„Dziatki moje wy... najdroższe!“

Skleroza

SZKOCJA — KRAJ PRYMITYWU I NĘDZY

W „Kuźnicy" (Nr 29/47) czytamy obszerną korespondencję ze Szkocji p. t. „Na zamku Mackbetha", pióra Marii Fiderer. Oto celniejsze uwagi autorki:

„Glasgow jest największym po Londynie miastem Zjednoczonego Królestwa, brzydkim czarnym miastem, wilgotnym od szkockiego deszczu... Miasto robi zdumiewająco prowincjonalne wrażenie... Teatrów jest śmiesznie mało, jak na takie duże miasto. Dzielnice slumsowe stają się jeszcze gorsze od sławnych ze swego braku komfortu, ubóstwa i skromności najgorszych domów szkockich... Ludzie tu stali prawie zawsze przed katastrofą głodu... W Szkocji jeszcze dziś spotyka się mało ziemi uprawnej... Do dziś jeszcze pięć milionów Szkotów jest mniejszością gatunkową w swym kraju wobec siedmiu milionów swoich owiec... Owce nie dają renty gruntowej i są podstawą dość prymitywnego gospodarstwa gruntowego, to też trudno się dziwić, że herbata w tym kraju uważana była za bardzo cenne i odpowiednio drogie lekarstwo... Nie jest wykluczone (choć historia o tym nie wspomina), że równie cenną i rzadką przyprawą był cukier..."

Zdaje się, że historia nie wspomina wogóle o wielu rzeczach, o których wspomina Maria Fiderer. Co się z tą kobietą zrobiło! Jeszcze w zeszłym roku, przed jej urzędowym wyjazdem do Anglii, pamiętamy ją w Łodzi, jako pełną życia, uroczą 26-letnią młodą mężatkę. A dziś co? Skleroza.

DROBIAZGI

Anglia dawniej.

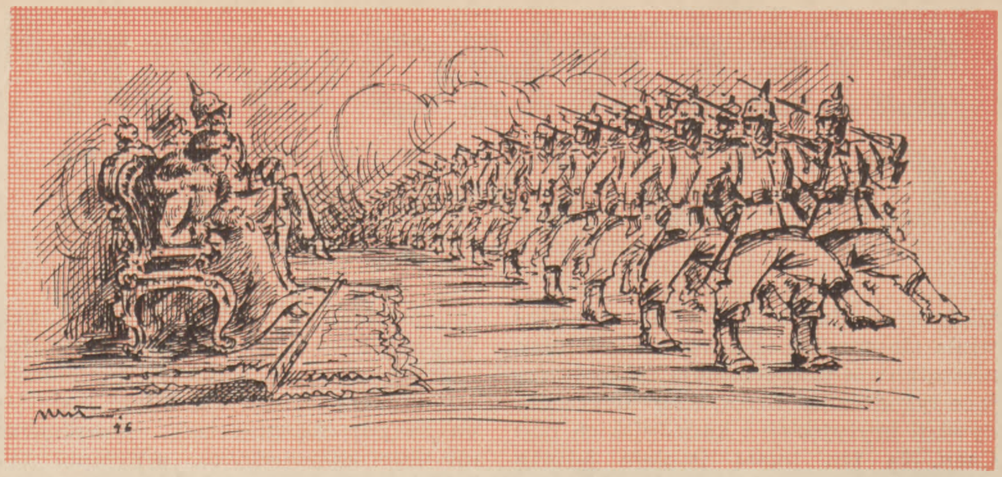
W 1234 r. królowie angielscy sypiali jeszcze na słomianych siennikach. W 1246 r. wszystkie domy w Anglii pokryte były słomianą strzechą. W 1300 r. mieszkańcy Londynu zamiast przed kominem zasiadali przed ogniskiem, rozpalonym na środku zadymionej izby, wino sprzedawano tylko na recepty w aptekach jako lekarstwo; domy były drewniane, a jazda dwukołowym wozem należała do zbytków. W 1351 r. największą srebrną monetę stanowiły 2 i 4 fenigi, parlament zaś zamiast pieniędzy asygnował królowi przedmioty w naturze. W 1509 r. Londyn nie znał ni kapusty, ni sałaty, ni rzepy. Wszystkie te jarzyny przywożono z Niderlandów. W 1561 r. królowa angielska Elżbieta włożyła pierwsze pończochy jedwabne, a w 1577 r. przywieziono do Anglii po raz pierwszy zegarki kieszonkowe. W 1590 r. było w całym Londynie tylko czterech kupców z kapitałem powyżej 400 funtów.

Kolor żałoby.

W Chinach kolorem żałoby jest biały, w Turcji błękitny, w Egipcie żółty, w Peru szary; królowie francuscy nosili żałobę w kolorze fioletowym. W innych krajach kolor czarny jest oznaką żałoby.



Rys. 1. Zamiast sztucznego jedwabiu można użyć na „wierzchnią suknię" jakiejś innej tańszej tkaniny.



Anegdoty historyczne

NIE DOŚĆ WYSOCY

Przed pierwszą wojną europejską królowa Wilhelmina Holenderska odwiedziła Berlin. Wilhem II urządził dla niej świetną paradę wojskową. Pierwszy maszerował pułk gwardii, którego żołnierze mieli wzrostu metr dziewięćdziesiąt. Wilhelm spojrzał na królową, oczekując od niej uznania.

— Nie są dość wysocy — rzekła królowa z uśmiechem.

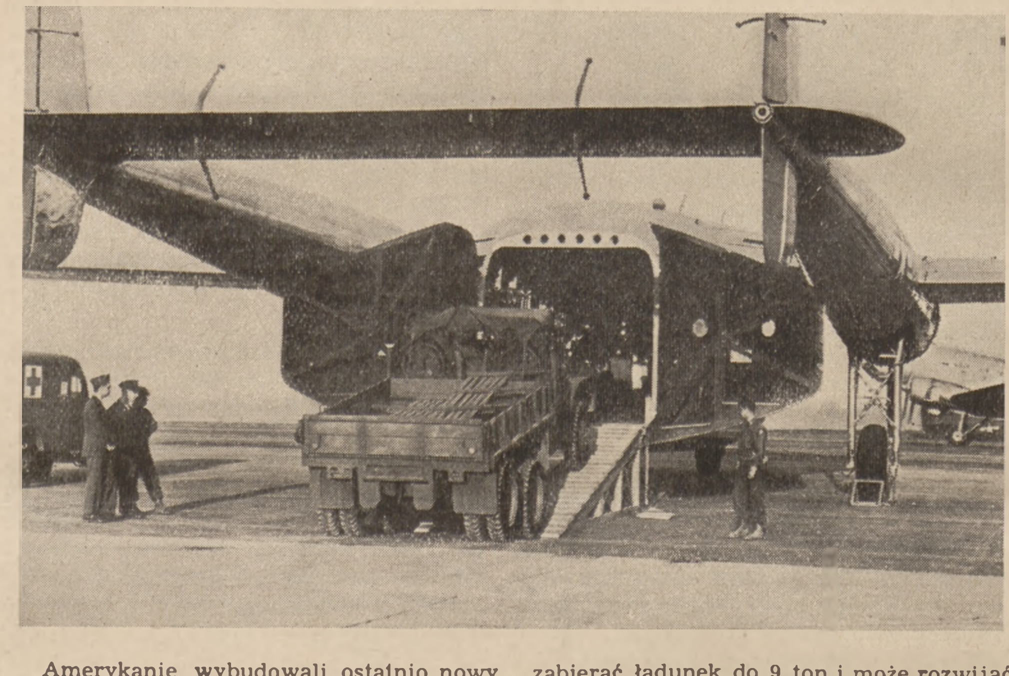
Następny szedł pułk, którego żołnierze mieli dwa metry wzrostu.

— I ci nie są dość wysocy — powiedziała wciąż uśmiechnięta królowa.

— Nie dość wysocy? — zawołał kajzer:— Jak to mam rozumieć?

— Bardzo prosto — wyjaśniła królowa: — gdy otwieramy nasze tamy, woda zalewa okolicę na głębokość pięciu metrów.

PŁYWAJĄCE AUTO - SKRZYNIA



Amerykanie wybudowali ostatnio nowy typ samochodu nazwany oficjalnie „Fairchild C-82" co znaczy „piękne dziecko", a popularnie „Pływające Auto-Skrzynia". Jest to samochód, którego karoseria przypomina duży wagon kolejowy w kształcie kwadratu o pojemności 81,5' m, mogący zabierać ładunek do 9 ton i może rozwijać szybkość do 320 km na godzinę. Z tyłu znajdują się drzwi o wymiarach 2,5 × 2,5 m., przez które można ładować i rozładowywać „Auto-Skrzynię", z lewej strony znajdują się mniejsze drzwi służące do ułatwienia obsłudze ładunku i wyładunku.

(PHOTO FAIRCHILD AIRCRAFT USA)

MODA NA PLAŻY

Jeszcze z początkiem bieżącego stulecia kobieta z nieśmiałością i wstydliwością przebierała się w kostium plażowy, wślizgiwała się skrycie do wody, i ściągając na siebie mnóstwo spojrzeń, jak najszybciej uciekała.

Można powiedzieć, że właściwie dopiero w roku 1925 kostium plażowy i kostium kąpielowy zdobywają sobie obywatelstwo. Rzecz prosta, że pierwsze damskie kostiumy plażowe czy kąpielowe były pomyślane tylko dla kobiet o pięknej figurze, a więc takich, którym we wszystkim jest ładnie. Dopiero od roku 1930, krawcowe francuskie, a w ślad za nimi inne, pomyślały o kobietach zbyt chudych, lub zbyt tęgich. Z drugiej zaś strony klientki, przekonywując się, że opalenizna choć czasem boli, zawsze jednak ładnie wygląda, zaczęły popularyzować kąpiele słoneczne, w czym sekundowała im jedna z najpoważniejszych nauk, a mianowicie medycyna.

Wtedy rozpoczynają swój tryumfalny pochód przez świat, najbardziej fantazyjne kostiumy plażowe i kąpielowe. Oczywiście, moda jak wszędzie tak i tutaj, uległa poważnym zmianom, i dlatego czujemy się w obowiązku informować o jej zmianach. Możeby ktoś powiedział, że skoro lato w pełni, zapóźno informować co jest na plaży modne. Nic podobnego. Elegancka pani, jakkolwiek się ubrała na plaże, z przyjemnością stwierdzi, że jej najserdeczniejsza przyjaciółka ubrana jest niemodnie, dlatego też z zainteresowaniem rozpatrzy serię zamieszczonych tutaj modeli.

1. Dla pań starszych odpowiednia będzie taka skrócona suknia balowa bez ramion, z której zdejmuje się prawie wszystko — spódnice, pelerynkę, żakiet, tak, że jako kostium kąpielowy zostaje bardzo niewiele. Wierzch — sztuczny jedwab, spód — trykot.

2. Ten model, rodzaj kostiumu do gier na świeżym powietrzu, rysownicy mody lansują obecnie jako fason najbardziej popularny. Bardzo wątpliwe, czy można się w nim kąpać, ale nie oto chodzi — wystarczy, że ładnie się w nim wygląda.

Na zakończenie zwracamy uwagę pięknych pań na to, że po ostatniej wojnie w dziedzinie strojów kąpielowych zapanował nowy kierunek, który prawie zupełnie skasował kostiumy ściśle przylegające jako plażowe. Zostają one wyłącznie jako kąpielowe. Natomiast kreacje plażowe stały się czymś bardzo skrupulatnie opracowanywanym, gdzie uczesanie, pantofle, maquillage i manicure muszą być dopasowane do koloru dominującego w kostiumie.



ZAGINIONY PILOT

Otrzymaliśmy list od pani J. B. Stewart (adres: Essexvale, Southern Rhodesia, South Africa). Na podstawie pewnych danych pani Stewart przypuszcza, iż jej syn, pilot-oficer James Keith Stewart, R.A.F. Nr 80400, eskadra Nr 64, który nie powrócił z nalotu na Dieppe w sierpniu 1942 roku, żyje i znajduje się w którymś z klasztorów na zachodnich terenach Polski, pod opieką zakonników. Podobno ma uszkodzony kręgosłup.

Ktokolwiek może dostarczyć wiarogodnych danych o losach, względnie miejscu pobytu pilota Stewarta, proszony jest gorąco o nadesłanie ich do Wydziału Lotniczego Ambasady Brytyjskiej w Warszawie.

Od i do Redakcji

Dr. med. B. W. w Tomaszowie Maz. Dziękujemy za nadesłany nam do „Sklerozy" wiersz Ożoga. Wydrukujemy .

P. Mieczysław Kwiatkowski we Wrocławiu, ul. Stalina 45, pisze do nas: Niniejszym komunikuje, iż w Nr 2 „Tygodnia" z dn. 21.7.46 na str. 5 słowo **puhar** błędnie napisano. Według nowej pisowni piszę się **„puchar"**. Jestesmy zbudowani pańską drobiazgowością. Cieszymy się, że Pan aż tak dokładnie przeczytał cały numer. Jednakże smuci nas to, że oprócz „pucharu", nic Pan w tym numerze nie dostrzegł.

P. Józef Baranowski w Poznaniu, ul. Graniczna 15, pisze: „Składam moje najszczersze uznanie i słowa zachęty dla nowego pisma". Dziękujemy serdecznie. Co się tyczy współpracy, prosimy o nadesłanie nam prób prozy.

P. B. Fuksowa z Łodzi. Zamiast wierszy wolelibyśmy dobrą prozę.

„Ryś" w Bielsku. Prosimy o dobre korespondencje ze Śląska, obrazujące wszystkie dziedziny jego życia. Pożądane zdjęcia.

P. Jan Trzaska w Płocku, ul. Bielska 12. Dziękujemy za uznanie. Czy nie zechciałby pan nadsyłać krótkich lecz wyczerpujących korespondencyj ze swego miasta oraz zdjęć?



Rys. 2. Wierzch z gładkiego sztucznego jedwabiu, spód z kretonu w barwny deseń.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień" ● Redaguje: zespół redakcyjny ● Redaktor naczelny przyjmuje w dni powszednie od 13 — 14-ej
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Pomorska 37 m. 1, tel. 14-906 ● Redakcja rękopisów nie zwraca ● Prenumerata miesięczna 30.— zł.
Konto P. K. O. Łódź VII Nr 4321 ● Drukarnia: Zakłady Graficzne „Społem" Łódź, ul. Andrzeja 63 ● D. 01534